CENA 30 GR.

NARÓD i PAŃSTWO
TYGODNIK

ROK I. WARSZAWA, 19 KWIETNIA 1936 R. NR. 11.

B. S.

# Do źródeł prawdziwej kultury

Do tematów, budzących żywy niepokój w myślącej części społeczeństwa polskiego, należy sprawa stanu i kierunku rozwoju naszego współczesnego życia kulturalnego, w szczególności naszej literatury.

W latach niewoli przyzwyczailiśmy się, że literatura — w sposób zły, czy dobry, rozumny, czy płytki — w wysokim stopniu służyła sprawom życia publicznego, w szczególności sprawie najważniejszej: odzyskania niepodległości.

Jeśli z tym miernikiem wartości społecznej podchodzimy do życia umysłowego dzisiejszej Polski — to wynik zarówno powierzchownej, jak głębszej, obserwacji nie może być dodatni.

Wartość społeczna dzisiejszej literatury polskiej może budzić najbardziej uzasadnione zastrzeżenia. Żyjemy w niesłychanie aktywnej epoce historji, żyjemy w ogniu wielkich przemian, żyjemy w obliczu ogromnych możliwości, zarówno twórczych i dodatnich, jak ujemnych i niszczycielskich. Nic z tego, albo niemal nic, nie odbija się na kartach naszej literatury w sposób istotnie poruszający serca, umysły, czy sumienia, mający wartość czynną, trwałą, zapładniającą. Niedarmo najlepszym wykładnikiem tej literatury na dzień powszedni stały się „Wiadomości Literackie", największym bodajże sukcesem artystycznym lat ostatnich amoralna i aspołeczna powieść Choromańskiego, najgłośniejszem wydarzeniem literacko-społecznem „Zmory" Zegadłowicza.

Tego rodzaju stan faktyczny budzi w ostatnim okresie wiele głosów niezadowolenia, ostrej krytyki, ba, nawet żądań społecznej, czy policyjnej reakcji, mającej na celu przeciwstawienie się nadmiernemu opanowaniu literatury przez erotyzm, odtwarzaniu na kartach utworów literackich t. zw. „brudów życia", głoszeniu i szerzeniu pesymistycznego poglądu na życie, na dzisiejszy stan stosunków polskich, czy też stosunków społecznych. Najsilniejszym i najjaskrawszym wyrazem tego rodzaju reakcji na sprawy literackie był sposób przyjęcia przez opinję publiczną książki Zegadłowicza. Przejawia się ona w stale powtarzających się ostrych ocenach całej działalności wydawniczej i społecznej „Wiadomości Literackich", w ocenach debiutów literackich wielu młodych pisarzy, w sposobie coraz ostrzejszego pisania o roli społecznej pisarzy typu Boya-Żeleńskiego etc.

Nie chcemy na tem miejscu podejmować szczegółowej dyskusji na temat żadnej ze spraw tu poruszonych. Chodzi nam raczej o zagadnienie szersze. Czy tego rodzaju reakcja i tego rodzaju stosunek do literatury istotnie dotyka jądra zagadnienia? Czy ostra polityka cenzuralna, albo ostry sposób reakcji opinji publicznej na zjawiska w rodzaju wyżej przytoczonych, mogą przyczynić się do istotnego wzrostu pozytywnej wartości społecznej literatury polskiej?

Na to pytanie odpowiedź zdaje się nie pozostawiać wątpliwości. Istota zagadnienia nie na tej leży płaszczyźnie. Można wprowadzić najostrzejszą cenzurę, a mimo to nie mieć literatury wartościowej. Można zostawić dużą swobodę pisania, a równocześnie dać literaturze tworzywo szersze, niżeli tylko odtwarzanie takich, czy innych stanów fizjologicznych. To nie jest zagadnienie cenzury ani policyjnej, ani społecznej, to jest zagadnienie atmosfery życia zbiorowego. Zależność literatury i życia jest niewątpliwa. Jednakże w znacznie większym stopniu życie oddziaływuje na literaturę, niżeli literatura na życie. Jeśli się chce mieć literaturę o wysokim napięciu wartości ideowych, to idee trzeba dać życiu. Nie łudźmy się, by przyszły one przez ogólne wezwanie do literatów, że mają pisać o rzeczach mądrych, pięknych i szlachetnych, gdyż inne będą konfiskowane przez cenzurę. Szlachetność i mądrość literatury rodzi się przedewszystkiem w walce toczonej przez zbiorowość o realizację szlachetniejszych i mądrzejszych form życia tej zbiorowości. A jeśli nawet jest ona wyrazem tylko jednostkowego wysiłku myślowego, jeśli jest wyrazem wyprzedzenia przez jednostkę twórczą własnej epoki, to i w tym wypadku do powstania takiej jednostki nie przyczynią się warunki policyjnego, czy społecznego nakazu, lub zakazu. Przeciwnie, niemal zawsze i wszędzie warunki te zwrócą się przeciwko tego rodzaju jednostce. Stąd też kto chce mieć wartościową literaturę, szerzej powiedzmy, wartościową kulturę własnego Narodu, ten niechaj nie kładzie zbytniej ufności w regulującą moc systemu nakazów i zakazów, wszystko jedno czy policyjnych czy społecznych.

Powracając do omawianych wyżej konkretnych przykładów dzisiejszej literatury polskiej, należy uczynić jeszcze jedno zestawienie. Niewątpliwie, nie jest rzeczą dobrą, że ton życiu umysłowemu Polski współczesnej nadają „Wiadomości Literackie", pismo bez ideowego oblicza. Niewątpliwie, jest rzeczą przykrą, że książką, która w znacznie większym od wszystkich innych stopniu może reprezentować współczesną literaturę polską zagranicą, jest aspołeczna i amoralna „Zazdrość i medycyna" Choromańskiego. Niewątpliwie w dzisiejszych warunkach życia europejskiego Polska powinna mieć większe wydarzenia z zakresu literatury o podłożu i zna-

czeniu społecznem, niżeli ukazanie się „nieprzyzwoitej" książki Zegadłowicza. Jednakże rzeczą istotną w stosunku do tego zagadnienia jest nie to, że wychodzą „Wiadomości Literackie", że ukazują się książki Choromańskiego i Zegadłowicza. Rzeczą istotną jest dopiero fakt, że pozycje powyższe są **naczelnemi** pozycjami polskiej twórczości umysłowej lat ostatnich. Z punktu widzenia literatury polskiej pozycje te mogłyby być niewątpliwie wartościowemi strumyczkami, czy strumieniami, aczkolwiek o nieco zmętniałej wodzie, wlewającemi się w żywy i wartki nurt całości naszej literatury. Dopiero kiedy nurt ten jest tak słaby, że zmętnienie staje się cechą całości, dopiero wtedy zjawia się zagadnienie w dzisiejszej postaci, zagadnienie ubóstwa ideowego współczesnej literatury polskiej.

Kto ze zjawiskiem tem chciałby jednak walczyć środkami tylko, lub przedewszystkiem, negatywnemi, nie oddawałby sprawie kultury polskiej dobrej przysługi. Zabić pewne zjawiska, zwłaszcza przy pomocy ostrej cenzury, można. Nie znaczy to jeszcze, by na ich miejscu koniecznie zrodzić się miały inne, z którychby Polska kultura mogła być dumna. Zniknąłby pewien czynnik drażniący, budzący niepokój i niezadowolenie. Wielu ludzi odetchnęłoby z ulgą. Jednakże niekoniecznie musiałoby to znaczyć, że stan jest lepszy. Byłby to tylko stan większego bezwładu umysłowego. Lecz głupota nie jest twórczym czynnikiem historji.

Kto istotnie chciałby szukać przyszłości kultury polskiej na gościńcu szerszych zainteresowań społecznych, a równocześnie chciałby aby literatura polska była dobrą przewodniczką Narodu na trudnych drogach współczesności — ten musi do zagadnienia dzisiejszego stanu naszego życia kulturalnego podejść z programem zarówno śmiałym, jak pozytywnym. Jeżeli chcemy mieć idee w literaturze, musimy je mieć w życiu. Na jakiej drodze jednak szukać należy tych idei?

Odpowiedź na powyższe pytanie dał już przed laty dwudziestu pięciu Stanisław Brzozowski w „Legendzie Młodej Polski", pisząc: „Lata ostatnie wykazały już, że istnieje tylko jedna siła zdolna objąć całkowity rząd nad dążeniami i interesami Narodu, jedna siła, która jest w stanie ugruntować społeczne podstawy narodowego życia nie na takim, lub innym, zbiegu wypadków, lecz na samej mocy własnej wobec życia, jedyna wreszcie, która nie oddziela zagadnienia samoistności politycznej od zagadnień rozwoju i postępu kultury. Tylko uświadomiony klasowo proletarjat polski domaga się jednocześnie jak najintensywniejszego skupienia i wyzyskania wszystkich sił wytwórczych kraju, spotęgowania jego technicznej, ekonomicznej energji, podniesienia warunków umysłowego rozwoju, wytworzenia wreszcie całego aparatu kulturalnego, niezbędnego aby człowiek mógł w Polsce jak najwyższym organizmem ekonomiczno-technicznym władać, siebie podnosić do wyżyn umysłowo - moralnych, umożliwiających swobodną na tym poziomie pracę i wreszcie, aby tę twardą i czynną swobodę swą nauczył się cenić i kochać. **Tylko proletarjatowi potrzebna jest nowoczesna kultura w całym tym zakresie, tylko on niczego się w tej kulturze nie lęka, tylko dla niego wreszcie nie istnieje rozdwojenie pomiędzy interesem Narodu i stanem posiadania...** Rzeczywistość Polski w ten jeden tylko może być pojmowana sposób: organizm rwącej się do życia pracy, lub z niewoli tego organizmu, z jego skrępowania czerpiący byt swój stan posiadania. **Szukacie prawdy. Nie znajdziecie innej prócz tej: wrosnąć w to olbrzymie stające się ciało, sprawić, aby zrosły się jego członki, aby poprzez wszystkie rozlała się jego wola: oto jedyne przeznaczenie. Ta tylko droga pozostała..."**

Ta droga, wyznaczona przed laty dwudziestu pięciu, jest i dziś jedyna. Na tej drodze można i należy szukać rozwiązania również i tych trosk i kłopotów życia umysłowego dzisiejszej Polski, które mogą być wielkie w atmosferze pustki ideowej, blade natomiast i nikłe będą wydawać się w każdej chwili, w której **poprzez całość życia polskiego** przepłynie żywszy prąd ideowego dążenia.

# Myśli o kulturze narodowej

**(Ze Stanisława Brzozowskiego — „Legendy Młodej Polski")**

*„Nie należy ulegać złudzeniu, że w przeszłości kultura powstawała przez podporządkowanie się jednostek wzorom gotowym i danym. Kultury ukazują się nam jako wystarczające sobie całości wtedy tylko, gdy zostały już stworzone. Każdy świat kulturalny w momencie swego powstania był czemś nowem, niebywałem, bezzasadnem, chaotycznem, grzesznem: powstawał wraz z narodzeniem jakiegoś nowego typu istnienia, typu, który był zaprzeczeniem poprzednich, buntem wobec nich, zerwaniem ciągłości. Kultura klasyczna XVII wieku we Francji, ów wzór tradycjonalizmu przyświecający Brunetier'om i Lemaitr'om, była też w momencie swoich narodzin zerwaniem tradycjonalnego wątku i odstępstwem. Przedstawiciel tej nowej kultury sprzeniewierzał się ideałom feodalnej dumy i niepodległości był odstępcą od czcigodnych sędziwych tradycyj i obyczajów. To samo działo się w każdym momencie kulturalnych narodzin. Dziś tylko większym niż kiedykolwiek jest przedział do wypełnienia: wszystkie dotychczasowe typy kulturalne żyły i rozwijały się na gruncie niesamodzielnej, utrzymującej je pracy. Pomimo to, ten jeden tylko pozostał niewątpliwie kierunek. W o l a k u l t u r y tę jedną ma tylko przed sobą drogę: tworzenia i hodowania psychiki swobodnych, samoistnie stwarzających całe swe życie, cały gmach swego istnienia pracowników".*

*

*„Inną jest rzeczą kulturę tworzyć, a inną rozumieć i tłomaczyć to, co już stworzone. Każdy świat kulturalny powstawał nie z logicznej analizy poprzedniego, lecz z zupełnie nowego wątka, z zaprzeczenia tego, czem żył poprzedni. Każdy był przed powstaniem swem nagim barbarzycą, każda nowa kultura ukazywała się zrazu jako zaprzeczenie poprzedniej, wydawała się samej sobie zaprzeczeniem kultury, wartości. Tworzyć nową kulturę znaczy to tworzyć nowy typ życia".*

*

*„Należeć do trwałego świata, stanowić jego moment organiczny — takiem było zawsze określenie kultury, twórczości kulturalnej. Kulturą stają się właśnie nasze cechy indywidualne jedynie, gdy są oparte na takim trwałym gruncie. Dzisiaj zadanie nasze jest szczególnie trudne, gdyż świat kultury, na którym jedynie oprzeć się możemy, nie istnieje, nie można nawet powiedzieć, że powstaje. Nie uciska on nas z zewnątrz, w sobie samych zbudować i ugruntować musimy, założyć siłą woli podstawy trwałe i nie zapadające się pod nogami. Odpowiedzialność wobec historji — oto jest rys zasadniczy każdej mającej doniosłość kulturalną działalności. Wrogiem najgroźniejszym jest dziś życie b e z h i s t o r y c z n e g o p l a n u, miękki i bezkostny subjektywizm. Brak kulturalnej, historycznej woli, brak męstwa, odległych historycznych perspektyw—oto cechy, rzucające się w oczy nowoczesnej europejskiej psychice kulturalnej. Tym kanałem wycieka najszlachetniejsza krew naszej myśli".*

*

*„Sprawcie, niech myśl, urodzona w miejskiej klasie robotniczej, zawładnie polskiem włościaństwem, niech skojarzy się z ziemią, przepoi jej oddechem, skąpie w słońcu, rozszerzy, uspokoi, stężeje, a stanie się rzecz niebywała: nowy lud, nowa moralność, prawo, kultura. Nie lękajcie się orać zbyt głęboko, trzeba dojść aż do tej oto głębi; nie lękajcie się sięgać zbyt wysoko: jesteście w samej piersi narodu — z niej wszystko powstało; tu jest miejsce sądzić bogi, idee, wartości; tu jest trwała opoka".*

*

*...między fabrycznym młotem, a chłopskim pługiem, między proletarjuszem-robotnikiem, a polską, chłopską wsią z a c z y n a s i ę, poczyna Polska. Tu jest koncepcja nie z bibuły i druku, lecz z ciała i krwi, tu jest młoda Polska, która oto już jest, żyć usiłuje wobec pozaludzkiego i międzyludzkiego żywiołu. Ona jest, o siebie, o przyszłość, o to, czem będzie, walczy. To nie marzenie — to żywa prawda: naród się stwarza, szuka dla siebie myśli, wyrazu, powstaje w naszych oczach z miazgi bezkształtnej ten poprzez wieki trwać mający twór, nowy fakt dziejowy; nie urojenie, nie myśl — lecz życie, nasze życie, które może, gdy zdołamy, nadać trwanie temu, co stworzyć potrafimy, jeżeli stworzymy coś, co się wobec tego faktu w jego łonie ostoi. Historję ludzie tworzą i oto jest moment, w którym zawiązują się pęki, dojrzewać mające stulecia".*

Józef Wojciechowski

# Hitlerowska ustawa o zawodzie dziennikarskim

Zupełnie słusznie utrzymują narodowi socjaliści niemieccy, że nietylko sposób ich dojścia do władzy, ale również metoda opanowywania oraz przesączania machiny państwowej i społecznej Niemiec, stanowi rewolucję w całem tego słowa znaczeniu. Z niezrównaną bezwzględnością i systematycznością rozsadzano i znoszono z powierzchni formy dawnego ustroju, aż położono go na łopatki. Na miejscu liberalistycznej Republiki Weimarskiej, powstało nowe, totalne państwo zwane Trzecią Rzeszą. Totalizm państwowy Niemiec hitlerowskich znalazł wyraz oczywiście przedwszystkiem w dziedzinie ustawodawstwa. Niesposób w jednym, czy nawet kilku artykułach, omówić całokształt tego ustawodawstwa. Wybieram tedy jedną z wielu ustaw „glajchszaltujących", ustawę, która budzić musi obecnie szczególne zainteresowanie z uwagi na represje zastosowane wobec prasy polskiej w Niemczech — nowe niemieckie prawo o zawodzie dziennikarskim, z dnia 4 października 1933 r. *(Schriftleitergesetz)*. Zastrzegam się z góry, że nie będzie to najbardziej wymowny przykład totalizmu z uwagi chociażby na to, że w dziedzinie prasy ingerencja państwa nie należy już dziś do najbardziej kwestjonowanych.

Niemiecka ustawa o zawodzie dziennikarskim z dnia 4 października 1933 r. stanęła na punkcie widzenia diametralnie różnym od tego, co pod tym względem przyniosły czasy nowożytne, a co wypowiedziało się w zasadzie „wolności prasowej", jako jednej z fundamentalnych „swobód obywatelskich" ustroju liberalistycznego. Minister propagandy Rzeszy, Goebbels, przemawiając w dniu ogłoszenia ustawy i prezentując w tej drodze swoje dzieło, rzucił pod adresem prasy niemieckiej te wymowne słowa: *„Przedewszystkiem musi sobie prasa wreszcie uświadomić: jest już w narodzie niemieckim taka niezniszczalna skłonność do przyjmowania słowa drukowanego poważniej, aniżeli mówionego. Opierając się na tej świadomości, trzeba podchodzić z większą odpowiedzialnością do drukowania słowa, aniżeli do wypowiadania"*, a dalej: *„Jest suwerennem prawem państwa, opinję publiczną, jeżeli nie kontrolować, to przecież conajmniej jej kształtowania w pewnym stopniu dozorować i troszczyć się o to, aby nie zeszła na drogi, które mogłyby być szkodliwe dla państwa, narodu i ogółu"*. Lekkostrawność tych słów jest już właściwością subtelnego stylu Goebbelsa. Ale nie brak w jego przemówieniu i określeń bardziej bezpośrednich jak „punkt widzenia totalistyczny". Zupełnie inaczej brzmi naprzykład: *„Oczywiście ma ona (sc. prasa) trzymać się ram tych linij, które wytyczyliśmy wielkiej polityce"*. Bez wszelkich osłonek wyrazili to komentatorzy ustawy, którym nie była już dana owa lekkość stylu. Mówią oni wprost: *„Wolność przekonań nie jest już w narodowo-socjalistycznem państwie tylko przedmiotem pewnego prawa, które może być dowolnie używane, lecz to prawo obejmuje zarazem koniecznie i a priori obowiązek wypowiadania przekonań z poczuciem odpowiedzialności dla narodu"* [1]). Ktoś z młodych ideologów hitlerowskich określił to poprostu: wolnością jest możność służenia swojemu narodowi [2]).

Przezwyciężenie liberalistycznego pojęcia wolności jest tedy podstawową przesłanką hitlerowskiej ustawy o zawodzie dziennikarskim. Współdziałanie nad kształtowaniem opinji publicznej stało się w Niemczech domeną dalekoidącego nadzoru państwa. A współdziałanie to jest bardzo szeroko pojęte. Zgodnie z § 1 ustawy z dnia 4 października 1933 r. jest niem każde *„współdziałanie nad ustalaniem treści gazet i czasopism politycznych, wydawanych na terytorjum Rzeszy, przez słowo, informację, lub obraz"*. Nietylko więc pisanie artykułów, notatek, ale nawet posługiwanie się nożycami w celu rozpowszechnienia pewnej wiadomości lub opracowania jest przedmiotem ustawy. Tak pojęte współdziałanie wyniesione zostało do godności funkcji publicznej o charakterze półurzędowym.

Tem mniej oczywiście dziwić nas musi nacisk, położony na kwalifikacje osobiste dziennikarza. Pośród wymienionych w § 5 znajdujemy: obywatelstwo niemieckie, obywatelskie prawa honorowe, pochodzenie aryjskie, pełnoletniość, zdolność do działań prasowych, przygotowanie fachowe (conajmniej 1 rok praktyki dziennikarskiej) oraz... posiadanie *„takich właściwości, których wymaga obowiązek duchowego wpływania na opinję publiczną"*. Ten ostatni wymóg ustawowy musi nas szczególnie interesować, stanowi bowiem w swojem założeniu niewątpliwie sito, przez które nie miał się przedostać żaden z nieprawomyślnych w stosunku do ustroju narodowo-socjalistycznego. Jest to niezwykle ciągliwa w możliwościach interpretacyjnych klauzula generalna. W urzędowem uzasadnieniu ustawy znajdziemy ciekawe wyjaśnienie: *„opowiedzenie się za światopoglądem, który pozostaje w sprzeczności z pozbawionem zastrzeżeń przyznaniem się do narodu, należałoby uznać jako brak pewnej właściwości osobistej"* [3]) (oczywiście w rozumieniu przytoczonego przepisu). A więc do brzmienia ustawy wprowadzono już pewną nowość, element narodu, który niewątpliwie tkwił u podstaw ustawy, nie był jednak na tem miejscu wyraźnie wypowiedziany. Ta właśnie interpretacja posłużyła ostatnio za uzasadnienie skreślenia z listy dziennikarzy redaktora „Kulturwehr", czasopisma mniejszości narodowych w Niemczech, Łużyczanina Jana Skali.

Komentatorzy niemieccy, zastanawiając się nad wspomnianą klauzulą generalną, dochodzą do przekonania, że przynależność uprzednia (przed przewrotem hitlerowskim) do jakiejś partji politycznej sama przez się nie dyskwalifikuje jeszcze, dyskwalifikuje jednak w każdym razie dawna przynależność do partji komunistycznej [4]). Że przynależność do innego narodu, aniżeli niemieckiego i chęć służenia temu innemu swojemu narodowi, może być podstawą dyskwalifikacji, tośmy widzieli na przykładzie redaktora Jana Skali.

Osoba odpowiadająca wszystkim wymogom § 5 zostaje na wniosek dopuszczona do zawodu dziennikarskiego i wpisana na listę dziennikarzy. Z tą chwilą dopiero zyskuje prawo zajmowania się dziennikarstwem i tytułowania się dziennikarzem *(Schriftleiter)*. Tu jednak czyha na nią odrazu szereg rygorystycznych ustawowych obowiązków i zakazów. Oto one:

*„Dziennikarze obowiązani są przedmioty, które opracowują, przedstawiać zgodnie z prawdą i oceniać je według najlepszej swej wiedzy" (§ 13).*

*„Dziennikarze są w szczególności obowiązani unikać w gazetach wszystkiego,*

*1. co samolubne cele miesza z ogólnie użytecznemi w sposób wprowadzający w błąd publiczność,*

*2. co zdolne jest osłabić siłę Rzeszy nawewnątrz albo nazewnątrz, wolę wspólnoty narodu niemieckiego, niemiecką obronność, kulturę albo gospodarkę, albo urazić uczucia religijne innych,*

*3. co wykracza przeciwko honorowi i godności Niemca" (§ 14).*

Dalszy punkt tego samego przepisu mówi o czci i dobrem imieniu bliźniego, a ostatni wprowadza znowu generalną klauzulę, że zakazane jest pozatem wszystko, *„co z innych powodów sprzeczne jest z dobrymi obyczajami"*. Ustawodawca sięgnął nawet do życia prywatnego dziennikarza, i żąda od niego odpowiedniego zachowania, także poza działalnością dziennikarską, zachowania, wymaganego przez zawód (§ 15).

Jakież olbrzymie środki zabezpieczył sobie w ten sposób hitleryzm w walce z przeciwnikami politycznemi. Praktyka wykazała niestety, że będzie je także stosował w walce z mniejszościami narodowemi. Mamy tu znowu przykład niedawno pozbawionego praw dziennikarskich redaktora „Gazety Olsztyńskiej", Wacława Jankowskiego. Zarzucono mu właśnie nie co innego, jak rozpowszechnianie faktów świadomie nieprawdziwych (§ 13), zdolnych osłabić siłę Rzeszy i narodu niemieckiego (§ 14) oraz zachowanie się niezgodne z zawodem dziennikarza (§ 15). Aż tyle szkody miała wyrządzić jedna i druga notatka w „Gazecie Olsztyńskiej", w której, opierając się na faktach prawdziwych, acz niemiłych dla Niemców, brano w obronę ludność polską przed samowolą niższych władz niemieckich.

Ciekawy i nowy jest wymóg prawdomówności dziennikarskiej. Ileż jednak przezornej kontroli źródła informacji, hamującej zasadniczą zaletę dziennikarskiej służby informacyjnej — szybkość, narzuca on z konieczności?! Ileż nadużyć władz nadzorczych sprowadzić on może?! Poza-

---

[1]) H. Schmidt-Leonhardt i P. Gast „Das Schriftleitergesetz von 4. 10. 1933 Kommentar", Berlin, 1934, str. 4.

[2]) „Wille und Macht", zeszyt 3. 1 luty 1936. Gottfried Neesse: „Von der Freiheit eines Nationalsozialisten".

[3]) H. Schmidt-Leonhardt i P. Gast — j. wyżej str. 59.

[4]) J. wyżej.

tem podkreślić należy, że nie wszystkie wiadomości prawdziwe mogą być w Niemczech publikowane. Nie mogą być w szczególności publikowane te wiadomości, których ogłoszenie narusza jedno z wymienionych w ustawie dóbr, wśród których znowu znajduje się tak nieuchwytne i niesprecyzowane dobro, jak „honor i godność Niemca". Dodać należy, że jeżeli chodzi o dobro narodu i państwa, to ustawa kładzie nacisk na samą *zdolność* naruszenia ich. Dany fakt nie musi więc rzeczywiście naruszać tych dóbr, wystarczy że jest zdolny je naruszyć.

Wykroczenie przeciwko któremukolwiek z tych obowiązków dziennikarza powoduje sąd nad nim. Do orzekania powołane są sądy samorządu dziennikarskiego (§ 25 p. 5 i § 28 p. 4), które rozstrzygają zarzuty w t. zw. postępowaniu sądowo-honorowem *(ehrengerichtliches Verfahren)*. Sądy dziennikarskie dysponują karami upomnienia, grzywny do wysokości jednomiesięcznego zarobku i najdotkliwszą oczywiście — *karą skreślenia z listy*. Skreślenie z listy jest nietylko zupełnem unieszkodliwieniem dziennikarza, ale jednocześnie jego materjalnem wykończeniem. Przypominam bowiem, że pracą dziennikarską w myśl ustawy jest nietylko pisanie artykułów, ale i posługiwanie się nożycami w celu zestawienia pewnej notatki. Tego wszystkiego nie wolno się już tknąć dziennikarzowi skreślonemu. Przestaje on być dziennikarzem.

Zasadę totalności państwa przeprowadzono też konsekwentnie w samorządzie dziennikarskim, którego wykładnikiem są: Związek prasy niemieckiej Rzeszy *(Reichsverband der Deutschen Presse)* oraz podległe mu związki terytorjalne *(Landesverbände)*. W samorządzie przeprowadzono hitlerowską zasadę wodzowstwa i jednostkowej decyzji t. zw. Leiterów. Cały zaś samorząd poddano kontroli ministra propagandy Rzeszy.

Oceniając niemiecką ustawę o zawodzie dziennikarskim z dnia 4.X.1933 r. z punktu widzenia założeń ideowych hitleryzmu, musimy stwierdzić, że znalazły one w niej wyraz naogół konsekwentny, ścisły. Niekonsekwencja istnieje jednak w każdym razie pod jednym względem, pod względem zastosowania ustawy także w stosunku do dziennikarzy innej, aniżeli niemiecka, narodowości na terenie Rzeszy. Dotyczy to dziennikarzy t. zw. mniejszości narodowych. Ustawa wychodzi przecież z przesłanki narodu jako naczelnego wiązadła ideologicznego, w służbę jemu zamierza wprządz ogół dziennikarzy. Stwierdza to pozytywnie — jak widzieliśmy — szereg przepisów. Nie powinna więc cała, albo przynajmniej w niektórych swoich przepisach, mówiących o służbie narodowi niemieckiemu albo „honorze i godności Niemca" odnosić się do dziennikarzy obywatelstwa niemieckiego, lecz obcej narodowości. Obowiązkiem moralnym tych dziennikarzy jest przecież służenie swoim narodom, ich kulturze, językowi i obyczajom. Zastosowanie i do nich hitlerowskiej ustawy o zawodzie dzienikarskim jest rzeczą sprzeczną z powszechnie uznanemi prawami mniejszości oraz oficjalnemi zapewnieniami kanclerza Hitlera, który przecież jeszcze w mowie parlamentarnej z dnia 21 maja 1935 r. zapewniał:

*„Nie jest naszem życzeniem, ani zamiarem zabierać obcym narodom ich narodowość, język lub kulturę, aby narzucić im obce, niemieckie".*

Zastosowanie powszechne ustawy z dnia 4 października 1933 r. postawiło przed młodą prasą polską w Niemczech widmo nowej germanizacji. Wątły jest jej zasób piór. Coraz bardziej kłopotliwem staje się tedy pytanie, czy nowi dziennikarze z młodego narybku zostaną do wykonywania zawodu dopuszczeni, a jeżeli tak, to czy z kolei z lada błahego powodu nie zostaną skreśleni?!

U podstaw gospodarczej rzeczywistości

SFR.

# Obciążenia przeszłości

Jaskrawy dysonans strukturalny obszarów, tworzących terytorjum Polski współczesnej, jest faktem niewątpliwie zbyt bijącym w oczy, aby potrzeba było udowadniać jego rzeczywistość. Geneza tego dysonansu jest również nam wiadoma; przynależność poszczególnych obszarów do różnych organizmów gospodarczo-społecznych musiała wytworzyć na ich terenie charakterystyczne dla owych organizmów i trwałe przekształcenia. Koordynacja tych przekształceń w nowoutworzonem państwie jest natomiast tem powolniejsza, im mniej świadomej i celowo wytężonej woli włożono w jej przeprowadzenie. Musimy zaś stwierdzić, że teraz dopiero zaczyna się w Polsce przyznawać otwarcie i autorytatywnie istnienie kilku różnych i ze sobą sprzecznych utworów strukturalnych, mechanicznie jeno w ramy polityczno-administracyjne państwa ujętych. Uświadomienie sobie tego stanu rzeczy, być może, przyśpieszy mobilizację akcji integracyjnej tych odmiennych i z różnych niejako epok rozwojowych pochodzących kompleksów ustrojowych w jednolitą całość zespołu państwowego.

Sprawa zaś sama nie jest tak prosta.

Proces zamierania przedrozbiorowej Rzeczypospolitej trwał długi czas, niejedną lat setkę, zanim rozległe jej terytorja weszły w okres ostatecznej agonji gospodarczo-kulturalnej, której wynikiem był podział tych, właściwie już oddawna bezpańskich, ziem między organizujących się i energicznych sąsiadów. Na losy dzisiejszej Polski większy, niż się to napozór zdaje, wpływ mają stare jej dzieje. Wyjaśnienie mechanizmu tych dziejów jest potrzebne dla zrozumienia zarówno obecnej konstrukcji krajów wchodzących w skład państwa, jak i dla wyznaczenia linji generalnej pracy państwowo-twórczej w Polsce.

* * *

Nie ulega żadnej wątpliwości, że Polska we wspaniałej epopei zdobywania przez Metropolis europejską globu ziemskiego żadnego udziału nie wzięła, zadawalając się wygodną, choć raczej gnuśną rolą „przedmurza chrześcijaństwa". Aktywna polityka Polski na wschodzie poza nieudane próby eksploatacji rolniczej obszarów ruskich nie wyszła. Od morza Bałtyckiego Polska nietylko pozwoliła się odepchnąć, ale i do tego odepchnięcia sama przez wmontowanie na swojem nadbrzeżu obcego a bitnego elementu niemieckiego walnie dopomogła. Ku morzu zaś Czarnemu Polska się nie kwapiła. Zdawaćby się mogło, że kraj ten własnego instynktu mocy i owładania był całkowicie pozbawiony. Odnosi się wrażenie, jakgdyby Polska od czasów epoki piastowskiej stała się długowieczną kolonją cudzego imperatywu. Niemożność stworzenia własnej, mocnej władzy i organizacji państwowej, nieobecność w historji polskiej własnej twardej woli organizacyjnej, intronizacja systemu paktowania z obcemi koncepcjami panowania, wydzierżawianie ustawiczne kraju w cudze ręce za przyrzeczenie „ułatwionego życia" dla t. zw. warstwy szlacheckiej (którejby się przydała bliższa analiza rodowodów), składają się na charakterystyczny obraz kraju o sfałszowanej historji. Nie wierzymy w autentyczność obecnego obrazu historji Polski przedrozbiorowej i sądzimy, że na terenie tej historji czekają nas jeszcze dziwne niespodzianki. Dziś tylko, spoglądając na mapę tej części Europy, widzimy, że Polska wyrzucona naporem elementu niemieckiego z hipotek surowcowych śląskich i handlowych nadbałtyckich, stanowiących właściwą podstawę jej bytu narodowego, nie postarała się ani tych hipotek odbić, ani nowemi, nadczarnomorskiemi zawładnąć. Instynkt narodowy nie wskazał jej właściwej drogi. Polska osiadła w pustej, beznadziejnej dolinie Wisły, dokąd nikt nie miał naprawdę żadnego ważnego i życiowego interesu. Na tych terenach Polska zajęła się uprawą zbóż: na dnie tego zajęcia tkwi tragiczny nonsens. Uprawa zbóż — w gruncie rzeczy małowartościowych traw stepowych, łatwych w manipulacji, wymaga wielkich obszarów ziemi, niskich kosztów obsługi i niewielu rąk roboczych. Wprowadzenie takiej uprawy, jako dominanty życia gospodarczego zbiorowości, prowadzić musiało nieuchronnie do supremacji wielkiej własności ziemskiej nad małorolnymi — do tendencji zagarniania jak największych obszarów ziemi w jednych rękach, do koalicji specyficznej posiadaczy latyfundjów, do spańszczyźnienia chłopa i eliminacji wszelkiego przemysłu jako ewentualnej dźwigni jego wyzwolenia. Oddanie zaś pozatem i handlu w ręce obce, pozbawiało zbiorowość wglądu za własne kulisy gospodarcze. Tutaj również leży ważny element upadku. Rezygnacja z wszelkiej kontroli obiegu pieniężnego i procesu wymiany sprowadza się w rezultacie do olbrzymiego drenażu jednostronnie rolniczej zbiorowości na rzecz przedsiębiorczej zmowy cudzoziemców. Koalicja szlachecka dusi się pod naciskiem nonsensu gospodarczego, który sama uświęciła, przeciw zwałom taniej łatwizny zbożowej, usiłuje znaleźć ratunek nie w heroicznem zerwaniu z głupstwem, lecz w corazto bezlitośniejszem gnębieniu poddanego samowoli szlacheckiej chłopa. Republika szlachecka staje się coraz bardziej potężnym kartelem plantatorów. Polska zaś coraz niżej upadającą, coraz gorzej administrowaną, coraz głębiej lekceważoną, poślednią kolonją agrarną na bezpłodnej ziemi.

Feudalny kartel prymitywnych producentów zboża, otoczony rojem ruchliwej i doskonale zgranej organizacji agentów finansowo-handlowych, oczywiście obcych, utrzymywał się w gruncie rzeczy z wyprzedaży i lichego ziarna i suwerenności politycznej własnego państwa. Tej twardej prawdy nie powinna nam przesłaniać żadna maskarada literacko-historyczna.

W tych warunkach przejęcie terytorjów polskich przez porozumienie sąsiednich mocarstw było logiczną konsekwencją upadłości gospodarczej nie państwa, bo tego już oddawna nie było, lecz bezrządnej koalicji plantatorów ziarna. Gdyby można było na tę upadłą masę ustanowić energiczny „nadzór sądowy", pozostawiając nietkniętą zwartość terytorjów, to mogłoby się udać przy twardej segregacji elementów zdrowych wśród zgniłego tłumu, przy podniesieniu chłopa do godności odpowiedzialnego obywatela i przyśpieszonej jego edukacji, uratować kraj od parcelacji. Tymczasem jednak nie było nikogo zainteresowanego w ratowaniu fikcyjnego „przedmurza chrześcijaństwa" z jego sromotnego samoponiżenia. Rozbiór kraju dokonał się w zasadzie bez większego oporu, poza symboliczną rewolucją Kościuszki, zdławioną zresztą raczej indolencję swoich, niż przez akcję militarną okupacji rosyjskiej.

Warto podkreślić, że stosunek koalicji plantatorów do organizacji państwa był zasadniczo negatywny. Państwo wydzierżawiano poprostu obcym oferentom za lichą tenutę spokoju i poprostu „nie zawracania głowy", t. zw. koniecznościami w postaci armji, szkolnictwa, lub administracji technicznej. Zbywszy z głowy kłopot, plantator wracał na swoją kolonję, gdzie w błogiej bezkarności mógł do woli obdzierać swych białych murzynów.

Ta krótka analiza dziejów pseudo-republiki agrarnych feudałów, republiki, która była litylko karykaturalnym rzutem starorzymskiej kultury niewolniczej na wspaniały ekran ewolucji nowożytnej cywilizacji, rzutem dla tej cywilizacji w zasadzie obraźliwym, pozwoli nam zrozumieć sens polskiej teraźniejszości społeczno-gospodarczej.

* * *

Nie ulega żadnej wątpliwości, że parcelacja rozbiorowa polskich ziem odbyła się z uwzględnieniem osobistych interesów feudalnych latyfundystów. Jest rzeczą również jasną, że uwłaszczenie chłopstwa na przydzielonych terytorjach uwzględniło także w jaknajszerszej mierze ich klasowe interesy.

Jest rzeczą niewątpliwie słuszną, że tendencje latyfundyzmu zachodnio-europejskiego szły w analogicznych kierunkach, zapędom tym jednak przeciwstawiała się potężna dynamika miast, szerokie rewolty chłopskie, orzeźwiająca atmosfera walk religijnych i wreszcie wspaniała ekspansja wypraw kolonjalnych. Mimo importu cudzoziemskich królów, Polska — niby-rycerska — żadnego zainteresowania dla tej porywającej epopei nowożytnego świata nie okazała. Więcej ją niepokoiły gromady chłopów, uciekających z pod bezlitosnego teroru pańskiej ręki na bezdroża Dzikich Pól Ukrainy. Powiedzmy, że to wylegiwanie się na wygodnym zapiecku „przedmurza chrześcijaństwa", przedstawiało dla t. zw. rycerstwa polskiego apogeum dynamiki bojowej.

Na okres parcelacji Republiki Polskiej przypada początek rozwoju kapitalizmu europejskiego. Zapasy złota i bogactw nagromadzonych w skarbach europejskich zdobywców Nowego Świata w czasie bujnej epoki merkantylistycznej stały się zaczynem ogromnego ruchu twórczego w samej metropolis. Eksploatacja dzikiego prymitywu zamorskiego przez cywilizację awanturników z metropolji, stworzyła poprostu myśl eksploatacji całego świata, łącznie z metropolją, przez zorganizowanie wyższej kondygnacji cywilizacyjno-twórczej, drogą zaprzągnięcia do pracy zastępu uczonych i techników. W ten sposób rozpoczął się wyścig wysiłku twórczego poszczególnych z początku przedsiębiorstw, a później i krajów. Wyścig ten premjował wynalazczość twórczego intelektu, budując mimowoli gmach dzisiejszej kultury. Jednocześnie zaś tkwił w tym wspaniałym konkursie zdolności ludzkich element tragedji. Założeniem wyścigu była próba zastosowania mechanizmu eksploatacji kolonjalnej systemem merkantylnym do własnych terytorjów metropolji. Próba ta musiała doprowadzić w prostej linji do zmowy kapitalistów, do zmobilizowania aparatu państwowego, celem z jednej strony ochrony własnej produkcji, z drugiej zaś zabezpieczenia zarówno rynków zbytu, jak też dostawy surowców. Demon zrabowanego na egzotycznych terenach złota obudził demona imperjalizmu wraz z jego nieodłącznym orszakiem wojennym. Obudzony w złych celach intelekt ludzki, przedewszystkiem zaczął opracowywać sposób swego wyzwolenia. Intelekt jest przejawem energji a priori wolnej. Nic więc dziwnego, że z instrumentu planowanego na najszerszą światową skalę wyzysku, stał się intelekt przywódcą walki przeciw temu spiskowi.

W przeciwieństwie do indeferentyzmu organizacyjnego latyfundystów, o ile nie idzie o obronę najelementarniejszego ich egoistycznego interesu, dynamika kapitalistycznej wyprawy po Złote Runo, pociąga za sobą automatycznie konieczność wzmocnienia więzów organizacyjnych państwa. Dla poziomego interesu latyfundysty przynależność państwowa jest sprawą w zasadzie raczej drugorzędną. Kapitalista potrzebuje natomiast silnego własnego aparatu państwowego, jako instrumentu walki. W jego interesie leży mocny rząd i dobrze zmontowany aparat militarny. Dlatego to silny przemysł jest najtrwalszym fundamentem państwa. Tutaj też leży tajemnica t. zw. rewolucyjnych przemian rosyjskich. Sens tego przewrotu leży w imperatywnej konieczności wybudowania na własnej hipotece surowcowej obronnego zrębu przemysłowego. Inaczej groziła Rosji powojennej olbrzymia inwazja rozbudowanego przez wojnę w Zachodniej Europie aparatu wytwórczego. Głębokość rewolucji mierzy się tutaj wielkością tego niebezpieczeństwa.

W ten sposób odwracają się kierunki działań historycznych. Udałość montażu przemysłowego Rosji przeciwstawia tradycyjnemu i na źródłach rabunku kolonjalnego opartemu kapitalizmowi zachodnio-europejskiemu, kapitalizm nowego typu, zrealizowany przez ofiarność olbrzymich mas zbiorowości. Rosja kolonizuje samą siebie dla wytworzenia potrzebnych rezerw kapitałowych: oto jest naga treść mechanizmu rewolucji sowieckiej. Na drodze tego niesłychanego w dziejach samopoświęcenia, buduje zespół narodów rosyjskich wspaniały gmach swojej przyszłej wolności. Sukces tej imprezy stawia oko w oko dwa typy imperjalizmów: kapitału kolonizacyjnego, stworzonego wysiłkiem conquistadore'ów i kapitału zespołowego, zebranego drogą planowej rekwizycji na terenie własnej zbiorowości. Owładnięcie kapitałem conquistadore'ów jest dalekim celem tego drugiego imperjalizmu.

* * *

Uwagi te wyjaśniają los terenów polskich, przydzielonych do różnych organizacyj państwowych. Tereny te, na nieszczęście Polski, są terenami o pustem podziemiu. Okręgi zawierające bogactwa mineralne już przedtem zostały Polsce odebrane — za wyjątkiem niewielkiego zresztą zlewiska naftowego—tak, że w zasadzie zdobycz sąsiadów przedstawiała się w postaci rozległych kartoflisk z pewnym zapasem soli w Wieliczce i Bochni dla przyprawienia ich nędznego produktu. Praktycznie więc biorąc, tereny te mogły ofiarować swoim nowym panom niewiele więcej prócz tradycyjnego „chleba i soli". Jakaż ich zatem była wartość jako podstawy organizacji kapitalizmu?

Pozatem tereny te, jako pogranicza trzech potęg politycznych, były od początku przewidzianem rozdrożem ich militarnej rozgrywki. Z tych więc głównych i niektórych ubocznych względów, pogranicza polskie trzech mocarstw — poza Śląskiem — pozostawiano odłogiem. Nie porwała ich w swoją orbitę ewolucja kapitalistyczna XIX wieku, nie mając ani czasu ani pieniędzy na trudną waloryzację płowego ugoru nadwiślańskiego. Prymityw tego ugoru odpowiadał równocześnie intencjom sztabów generalnych armji, studjujących go jako teren ewentualnych operacyj strategicznych. Brak zainteresowania ze strony kapitału zgadzał się więc idealnie z kalkulacjami sfer wojskowych. W wyniku tego uzgodnienia, popartego ekspertyzą geologiczną, tylko te inwestycje miały szanse realizacji na tych terytorjach, które nosiły charakter nieodzowności militarnej. Interes własny ludności kraju odsunięto na plan najdalszy. W interesie zresztą kierownictwa państwowego leżało uwstecznienie autochtonów, ułatwiające ich stopniowe wywłaszczenie, względnie wynarodowienie.

* * *

Pozostawienie obszarów polskich na marginesie ewolucji kapitalistycznej w ciągu stu kilkudziesięciu lat jej najwspanialszej twórczej dynamiki, uwarunkowało ich stopniową regresję cywilizacyjną. Zahamowanie to wzmagało się pod naciskiem przyrostu demograficznego, którego efekt pogłębiał stan chronicznej nędzy, właściwej mieszkańcom tych nieszczęsnych terenów. W okresie tym ludność polska zwiększyła się prawie czterokrotnie. Porównawszy ów przyrost z niewielką zmianą stanu posiadania latyfundystów polskich, dojrzymy tragiczny dysonans, nieskompensowany przecież żadną poważniejszą emigracją proletarjacką.

Widzimy zatem, że w ciągu okresu niewoli, tereny dzisiejszej Polski napełniają się zwolna lecz stale gęstym tłumem chłopskim, który, wobec zorganizowanej obrony latyfundystów, coraz mniej ma ziemi pod nogami i coraz większy głód jej czuje. Tworzy się tutaj prawdziwe ghetto chłopskie. Świadome ze strony centrali organizacyjnych państw zaborczych ugorowanie niebogatych pograniczy polskich, łączyło się z częstem lokowaniem na tych pograniczach lichego śmiecia administracyjnego w postaci personelu, którego już w czystych izbach organizmu gospodarczego państwa użyć było niepodobna. W austrjackiej Galicji pozatem udało się wyhodować specyficzną odmianę rodzimej

biurokracji o niezwykłej dozie lojalizmu i bardzo skomplikowanych manierach urzędowania. Nie zapominajmy też o rosyjskiej „linji osiadania", eliminującej z obszarów rdzennych imperjum element żydowski, któremu wolno było rozrastać się wyłącznie na ziemiach polsko-ukraińskich...

* * *

Oto, jakiem było dziedzictwo gospodarczo-społeczne współczesnej Polski.

Po uciszeniu się burzy militarnych operacyj kraj powinien był być poddanym ścisłej analizie strukturalnej, któraby wykazać musiała niebezpieczną jednostronność układu społecznego zbiorowości polskiej oraz nonsens podziału gospodarczego stanu posiadania, przedewszystkiem w grupie rolniczej. Impet hyperkonjunktury regeneracyjnej okresu powojennego uniemożliwił te rozważania, które dzisiaj dopiero zyskują głos, gdy z lichych powiązań naszej rudery ustrojowej zerwane zostały pod działaniem kryzysu zwodne dekoracje przejściowej pomyślności.

Przeprowadzeniu wnikliwej analizy ustrojowej stanęła na drodze inna jeszcze troska: konieczność urządzenia mocnej władzy państwowej na ich obszarze. Praca ta musiała być wykonaną za zgodą zbiorowości lub wbrew tej zgodzie. Niestety, w Polsce, której wielowiekowa tradycja nie znała koordynacji państwowej, dzieło budowy państwa musiało być podjęte na drodze przymusu i wykonane z materjałów leżących akurat pod ręką. Należało bowiem tutaj wybierać pomiędzy dwiema alternatywami programu przebudowy zbiorowości: albo rozpocząć od rewolucji gospodarczej przy otwartych drzwiach, przez które każdy korzystający z niepokojów mógł bezkarnie wejść, albo rozpocząć od budowy płotu i mocnych wrót, a rozgrywkę wewnętrzną pozostawić następnemu etapowi historji. Koniec osiemnastego wieku wykazał już niemożliwość przeprowadzenia reorganizacji kraju przy otwartych naścieżaj wrotach. Instrukcja dziejów, której wykonania podjął się Józef Piłsudski, była aż nadto wyraźną. Faktycznie nie było wielkiego wyboru: imperatyw historyczny przewidywał dla rozdroża polskiego tylko jedną drogę, drogę bojowej decyzji Piłsudskiego.

Jest rzeczą dla Polski szczęśliwą, że następujący po okresie hyperkonjunktury kryzys gospodarczy zastał aparat militarno-polityczny wykończonym, zaś w ciągu kilku lat swego działania, dzięki obnażaniu wszystkich powiązań gospodarstwa, pozwolił poznać zasadnicze wady ustrojowe kraju. W tym wyniku poznawczym leży zbawienne znaczenie kryzysu dla Polski. Zbiorowość polska stanęła u progu drugiego etapu regeneracji. Diagnoza wiedzy ekonomicznej wykazuje niespornie chorobę ustrojową, której nie sposób wyleczyć dorywczem łataniem powierzchownych skrzywień. Polityka deflacji ekonomicznej przedstawia wspaniałą metodę diagnostyczną. Zamiast kojących zastrzyków, uśmierzających wprawdzie ból lokalny, lecz pogłębiających przy złudzeniach poprawy istotne schorzenie organizmu, pozostawienie chorej zbiorowości w warunkach możliwie higjenicznych własnym siłom organicznym, które albo ją wyleczą — jeśli to choroba przejściowa zdrowego ustroju, albo wykażą bezsporne zło dziedziczne, jeżeli mamy przed sobą wypadek deformacji organicznej.

Naszem zdaniem niema jednak potrzeby odczekiwania rezultatów analizy deflacyjnej, skoro prosty rzut doświadczonego oka na sytuację historyczno-gospodarczą Polski wyjaśnia dostatecznie zarówno obecny układ ustrojowy kraju, jak i tego bezładu istotne przyczyny. Życie Polski domaga się zdecydowanej interwencji operacyjnej. Jeżeli kierownictwo obecne zbiorowości polskiej nie zdecyduje się na takie cięcie, zapewniające mu aseptyczne warunki prawidłowego zabiegu, to operacja społeczno-gospodarcza, może stać się konieczna w warunkach bezporównania groźniejszych.

* * *

Powiedzieliśmy wyżej, że zatłoczone ghetto chłopskie Polski znajduje się z jednej strony w obliczu dziedzicznego kartelu latyfundystów, z drugiej zaś, w obliczu zmory kolonizacyjnego kapitału zagranicznego, opartego o obcoplemienny aparat wymiany towarowej i drenażu finansowego.

Kapitał zagraniczny zatrzymał swoje główne fortece na nabrzeżnych hipotekach surowcowych kraju, przetwórstwie chemicznem i produkcji siły elektrycznej. Są to pozycje kluczowe. Niewątpliwie jednak i ponadto kapitał *niepolski* owłada całością życia przemysłowo - handlowego w Polsce, nosząc charakter zorganizowanego monopolu eksploatacji kolonjalnej. Na tereny rolnicze kraju nasuwa się więc sieć planowego wyzysku, kierowana umiejętną ręką doskonałej organizacji kapitalistycznej. Główny sens tego wyzysku leży w drenażu rezerw kapitałowych kraju. Sprawa gospodarcza jest jednak zasadniczą dominantą współczesnego życia zbiorowości narodowych. Szczęśliwe rozwiązanie problemu organizacji kadrów militarno-politycznych, stanowi *conditio sine que non* egzystencji państwowej Polski, nie rozstrzyga jednak samej zasady tej egzystencji. Rozstrzygnięcie to leży na terenie batalji gospodarczo-społecznej. Nie można jednak wygrać żadnej bitwy, ograniczając się do ostrożnej obserwacji placu boju zapomocą polowej lornetki.

W powietrzu polskiem wisi bunt, którego źródłem jest tradycyjna niezaradność kierownictwa interesów zbiorowości w sprawach organizacji ekonomicznej. Kierownictwo to nieochotne do powzięcia żadnej rozstrzygającej decyzji gospodarczej, lękliwe jak dziecko zagubione w lesie, nasłuchuje jednak kołysanek zakulisowych znachorów. I naradza się bez końca i miary.

Tymczasem wszakże zbliża się z nieubłaganym fatalizmem niebezpieczny zakręt dziejowy, którego nie można ominąć przymykając wystraszone oczy...

Na teren batalji gospodarczo-społecznej musi Polska wkroczyć z tą samą zimną krwią i wolą zwycięstwa, która pozwoliła jej wygrać batalję polityczną.

Do założeń strategicznych tej batalji powrócimy.

S. Skulski

# Ewolucja komunizmu francuskiego

*Paryż, w kwietniu*

„Chcemy uczynić Francję silną, wolną i szczęśliwą... Francję, która nie zniesie więcej pogróżek jakiegoś Hitlera".

„My chcemy i my stworzymy taką Francję, której synowie... będą mogli mówić. — Nie żądamy ani cala obcej ziemi, ale nie pozwolimy dotknąć ani cala naszej ziemi".

Słowa te wypowiedział w niedzielę, dn. 5 kwietnia 1936 r. na zgromadzeniu ludowem w Buffalo, w Paryżu, przed 70.000-ną masą komunistów francuskich, sekretarz francuskiej Partji Komunistycznej, Maurice Thores.

Podkreślam — słowa te wypowiedział sekretarz francuskiej partji komunistycznej, partji, która powszechnie jest znana ze swego internacjonalistycznego podejścia do zagadnień społecznych, która należy do III-ej moskiewskiej Międzynarodówki i która jeszcze kilka lat temu z namiętnością zwalczała traktat wersalski, w szczególności jego klauzulę, ograniczającą suwerenność Rzeszy i która za największe głupstwo francuskiej polityki zagranicznej uważała okupację Nadrenji.

A zgromadzone masy komunistów francuskich przyjmowały te słowa sekretarza partji entuzjastycznemi brawami i owacjami.

Jaka olbrzymia ewolucja francuskiego komunizmu!

Skąd powstał ten nowy prąd, w jakich warunkach dojrzały i sformułowały się przytoczone słowa sekretarza partji i co najważniejsze skąd zrodził się w zebranych masach entuzjazm dla tych słów?

W światowej antymarksistowskiej prasie utarł się pogląd, że bojowy nastrój antyniemiecki, względnie antyhitlerowski komunistów francuskich jest wynikiem zręcznej polityki Moskwy, która wykorzystując wpływy trzeciej Międzynarodówki, zdołała nastawić komunistyczne, a następnie przez front ludowy i socjalistyczne i radykalne masy francuskie przeciwko hitlerowskim Niemcom, zagrażającym obecnie Związkowi Sowieckiemu, jak również że cały front ludowy we Francji to tylko i jedynie taktyczne posunięcie Moskwy, która w ten sposób — przez swych „wasali" — komunistów francuskich zyskuje sobie wpływ na wewnętrzną i zagraniczną politykę III Republiki.

Jaka jest rola i wpływ Sowietów na rozwój stosunków politycznych we Francji — nie wiem i wątpię czy ktokolwiek potrafi rzeczowo na to odpowiedzieć. Że jednak Sowiety — przez III Międzynarodówkę zwłaszcza — wywierają odpowiedni wpływ jest niewątpliwe, już chociażby z tego powodu, że p. Cachin — przywódca komunistów francuskich — jest członkiem naczelnych władz trzeciej Międzynarodówki.

Nie chcąc jednak ułatwiać sobie zbytnio interpretacji rozwoju wewnętrznych stosunków francuskich — jak to czynią ci, którzy jedynie w Moskwie widzą klucz do rozwiązania zagadki ewolucji komunizmu francuskiego — chciałbym na pod-

stawie analizy sytuacji gospodarczej i politycznej III Republiki spróbować dać wyjaśnienie tego zagadnienia.

Francja, tak samo, jak i wszystkie inne kraje kapitalistyczne, przeżywa obecnie kryzys.

Będąc krajem bogatym, posiadając wielkie kapitały rezerwowe, gospodarstwo francuskie nie jest jednak w stanie użyć tych rezerw dla dalszego podniesienia dobrobytu kraju.

Przemysł francuski przeżywa kryzys, zmniejsza swą produkcję, wyrzuca na bruk bezrobotnych.

Budżet państwa wykazuje stale rosnący deficyt i rząd ucieka się do redukcji urzędników, gdy tymczasem olbrzymie miljardowe sumy, olbrzymie zapasy złota leżą bezrobotne w bankach. Gospodarstwo francuskie znajduje się w okresie skonsolidowania się monopolistycznego charakteru przemysłu i finansów.

Koncentracja kapitału we Francji przybrała olbrzymie rozmiary. Znaczna większość całego przemysłu Lotaryngji — huty, kopalnie, koleje i t. d. znajdują się w rękach rodziny de Wendel, największe banki są własnością bądź też są kontrolowane przez rodzinę Rotschildów. Takich rodzin posiadających, bądź też kontrolujących znaczną większość całego gospodarstwa francuskiego, znajduje się we Francji nieco więcej niż 200.

Źródłem ich potęgi jest Bank Francji, do którego rady regentów (rady nadzorczej) nieraz z dziada pradziada należą przedstawiciele wielkich plutokratycznych rodzin, j. np. rodzina Mallet ma swojego przedstawiciela w radzie od 1800 r., rodzina Hottinquer od 1803, Rotschildowie od 1855 r. Dzięki Bankowi Francji i dzięki jego polityce emisyjnej, stało się możliwe doprowadzenie i to nawet bez uciekania się na większą skalę do kartelizacji, do tak wielkiej koncentracji kapitałów w rękach poszczególnych jednostek.

Jakie zaś są skutki nadmiernej koncentracji kapitału przemysłowego i finansowego, który w ten sposób uzyskuje monopol na rynku wewnętrznym, jest to każdemu znane, chociażby z dyskusji, jaka prowadzona była w Polsce na temat karteli.

We Francji rośnie bezrobocie, wzmaga się wyzysk klasy robotniczej oraz drobnego kupiectwa, które cierpi z jednej strony przez konkurencję wielkich magazynów, a z drugiej przez wprowadzenie sztywnych cen na towary oddawane drobnemu kupcowi do odsprzedaży.

W tym stanie rzeczy drobny burżua francuski, który stanowi przedewszystkiem klientelę partji radykalno-socjalistycznej, zaczął się burzyć przeciwko gniotącym go wielkim magazynom, eksperymentowi wielkiego kapitału, przeciwko zmniejszaniu procentu przy odsprzedaży fabrykatów wielkich fabryk i przeciwko śrubie podatkowej, która, oszczędzając wielkie fortuny, przedewszystkiem kierowała ostrze swego działania przeciwko drobnemu burżua.

Rosnące w ostatnich latach niezadowolenie drobnomieszczaństwa francuskiego było wodą na młyn komunizmowi francuskiemu, który zwłaszcza po zwycięstwie hitleryzmu w Niemczech zrozumiał, że dotychczasową swą polityką zwalczania socjalistów i wysuwania maksymalnego programu nie osiągnie zwycięstwa i może tak samo jak komunizm niemiecki przegrać pod naporem rozwijającego się ruchu faszystowskiego we Francji. Dlatego też komuniści francuscy zmienili front. Zamiast maksymalistycznych haseł — wysunęli hasło połączenia ludu francuskiego w walce przeciwko uciskającemu Francję panowaniu 200 rodzin oligarchji finansowej.

„Niech bogaci płacą" w tych słowach określili komuniści swój program gospodarczy. W zakresie polityki wewnętrznej stanęli na stanowisku utrzymania za wszelką cenę swobód obywatelskich i obrony parlamentu. Jest rzeczą zrozumiałą, że na tej platformie porozumienie między radykałami, socjalistami i komunistami było zupełnie łatwe do osiągnięcia.

Tak samo i na odcinku polityki zagranicznej mogło nastąpić łatwo porozumienie między temi partjami, zwłaszcza w odniesieniu do paktu francusko-sowieckiego.

Komuniści francuscy zawsze byli — ze zrozumiałych zupełnie powodów — zwolennikami Związku Sowieckiego. Niemniej jednak zwolennikami zbliżenia francusko-sowieckiego nie byli tylko komuniści. W warunkach wytworzonych po dojściu Hitlera do władzy — głównym zwolennikiem oparcia się o Sowiety byli radykałowie socjalni. Można śmiało twierdzić, że gdyby we Francji jedynie komuniści byli za zawarciem przymierza z Sowietami, pakt francusko-sowiecki nie doszedłby do skutku, gdyż opinja francuska nie dałaby się w żadnym wypadku przekonać swym komunistom o słuszności prosowieckiej polityki. Moralnym twórcą paktu francusko-sowieckiego była partja radykalna — i tylko dzięki radykałom — Herriotowi i Cot'owi — mogło dojść do zbliżenia francusko-sowieckiego.

Wobec tylu punktów wspólnych współpraca między radykałami a komunistami i socjalistami stała się zupełnie możliwa.

Niewątpliwie są jeszcze tarcia, niemniej jednak stwierdzić trzeba, że hasło jedności ludowej przeniknęło już bardzo głęboko do świadomości mas francuskich.

Dla wzmocnienia tej jedności komuniści francuscy nie przestają pracować, dążąc przedewszystkiem do likwidacji wszystkich pozostałości dawnego okresu rozbicia ruchu robotniczego, czego najdonioślejszym dowodem jest połączenie się socjalistycznych i komunistycznych związków zawodowych w jedną organizację zawodową C. G. T. mimo to, że formalnie dano komunistom w zarządzie połączonej organizacji mniejszą ilość głosów, niżby to im się nawet należało.

Znalazłszy się śród socjalistów i radykałów przy wspólnym stole — komuniści francuscy musieli również dostosować swój język do nowego otoczenia. Radykał francuski — drobny burżua — jest elementem wysoce patrjotycznym. Stojąc więc we wspólnym szeregu z drobnym kupcem francuskim, komunista francuski zmuszony został rozmawiać z nim wspólnym językiem, t. j. mówić o Francji, jako o swej własnej i swego nowego towarzysza walki ojczyźnie.

W tych warunkach zrozumiałe mogą być słowa Thores w Buffalo. Czy może jednak Thores jest odosobniony w swej partji? Nie. Stwierdzić trzeba i to z całą stanowczością, że patrjotyczny patos Thoresa — stał się sposobem mówienia i pisania wszystkich niemal działaczy a także i szeregowych partji.

Ten sam patrjotyczny patos wyraża się w walce z francuską prawicą. „Niech się strzegą (faszyści) przed straszliwą odpowiedzią ludu... W swej ignorancji i zaślepieniu nie wiedzą oni co szykują potomkom Koblencji wnuki rewolucjonistów 93 i 71 roku" (Humanité z 6 kwietnia 1936 r.).

Potomkowie Koblencji — to pułk. de la Roque, przywódca Croix de feu, potomek starej arystokratycznej rodziny francuskiej, która podczas wielkiej rewolucji francuskiej uciekła do Niemiec i organizowała zbrojną interwencję Prus i Austrji przeciwko rewolucyjnej Francji.

A dalej p. de Wendel, członek Croix de Feu, staje się przedmiotem ataków komunistycznych z tego powodu, że jego fabryki dostarczają stali niemieckim fabrykom, produkującym armaty, których lufy skierowane są na Francję.

Szczególnie ciekawy jest stosunek komunistów francuskich do Rosji sowieckiej. Na pierwszy rzut oka jest on entuzjastyczny. Na każdem miejscu, przy każdej sposobności mówi się o Rosji Sowieckiej, o pięciolatce, o stachanowcach i t. d. Rosja Sowiecka niewątpliwie ma wielki urok na masy komunistyczne we Francji niemniej jednak sentyment do Sowietów nie jest bezkrytyczny.

Na jednem z zebrań działaczy propagandzistów komunistycznych, poświęconem gospodarce planowej w Sowietach, prelegent, mówiąc o zwiększającej się stale wydajności pracy sowieckich fabryk, które w niektórych wypadkach przekroczyły podobno normy wydajności najbardziej rozwiniętych krajów kapitalistycznych, wyraził się w następujący sposób: „Te wyniki można było *uzyskać nawet z robotnikiem rosyjskim*. Gdybyśmy, my francuzi znaleźli się w tej sytuacji, osiągnęlibyśmy to wszystko znacznie prędzej i łatwiej, bo mamy o wiele więcej wykwalifikowanych robotników i większą cywilizację".

A więc — nawet gdy mowa o Sowietach — to i tak francuski komunista nie zapomina o tem, *że gdyby robotnik francuski budował socjalizm — to czyniłby to lepiej niż robotnik rosyjski.*

W ten sposób rozwiązał komunizm francuski problem patrjotyzmu.

Nie przypuszczam, aby słowa Thoresa były jedynie manewrem, dokonywanym według wskazówek Moskwy. A jeśliby nawet tak było — to skutki tego manewru dla ortodoksyjnych komunistów internacjonalistycznych będą opłakane, bo masy francuskie, które, słuchając słów Thoresa, uwierzą, że socjalizm i Francja to nie są rzeczy przeciwstawne, ale jaknajściślej zespolone, że jedynie komunizm — „nadzieja kraju" — „jest zdolny przywrócić Francji jej dawną świetność", nie dadzą się już zawrócić z drogi swego patrjotyzmu.

## Dyskusje

K. Karłowicz

# T. zw. inicjatywa prywatna

*Należy zacząć od — nomenklatury.*

*Co to jest owa tajemnicza „inicjatywa prywatna"? Przecież każdy czytelnik „Kurjera Polskiego", nie mówiąc o czytelnikach opozycyjnej prasy prawicowej, jest najświęciej przekonany, że inicjatywy prywatnej albo wogóle już niema, albo jest ona tak na każdym kroku krępowana, iż ledwo dyszy. Złą konjunkturę gospodarczą poprostu tłomaczy się tem, iż rząd, panie dobrodzieju, zwalcza inicjatywę prywatną. W ten sposób inicjatywa prywatna nabiera charakteru jakiegoś cudownego lekarstwa, które mogłoby nas postawić na nogi, gdyby nie upór czy zła wola rządu.*

*Inicjatywa prywatna ma w Polsce takie same prawa obywatelstwa, co w każdym innym kraju, nie wyłączając (tak jest) Rosji Sowieckiej. Bo przecież w dosłownem brzmieniu tych dwuch wyrazów mieści się stwierdzenie prostego faktu, że nic się nie dzieje bez inicjatywy jednostki. Przedsiębiorstwa publiczne idą nie jakąś mistyczną inicjatywą publiczną, lecz tem, co wymyśli i zdziała jednostka lub grupa jednostek, prowadząca dane przedsiębiorstwo. Faktem jest przecież — i „Kurjer Polski" to potwierdzi — że nadmiar inicjatywy wykazują w Polsce właśnie kierownicy przedsiębiorstw państwowych. Nie trzeba wskazywać palcem.*

*W kraju, który się dopiero urządza, zagospodarowuje, każda inicjatywa, byle twórcza, jest — jak się to mówi — mile widziana. Poza wąską grupą artykułów czy usług monopolowych (mowa o monopolach fiskalnych) wszystkie inne artykuły i usługi są dla wszystkich dostępne, wszyscy mogą produkować lub zbywać będące na rynku lub importowane towary. Niejednokrotnie państwo, będące właścicielem takiego czy innego przedsiębiorstwa, wyrażało gotowość zbycia go w ręce prywatne (krajowe); do dziś dnia Skarb Państwa oczekuje na prywatnego nabywcę akcyj „Żeglugi Polskiej S. A.".*

*Słowa: inicjatywa prywatna — mają więc sens praktyczny odmienny od dosłownego brzmienia. Mówiąc o inicjatywie prywatnej i inicjatywie publicznej, dajemy niejako wyraz przeciwstawności charakteru ośrodków dyspozycji. A zatem w pierwszym wypadku mamy do czynienia z kapitałem*

*i zarządem prywatnym, gdy w drugim — kapitał i zarząd są publiczne (państwowe, społeczne lub komunalne). Można iść nawet dalej i powiedzieć, że tam chodzi o zysk kapitalisty, który dąży do maksymalnego oprocentowania włożonego przez się kapitału, tutaj natomiast przedewszystkiem o niewymierzalne interesy ogólno-społeczne, o dobro zbiorowości, której formą jest państwo lub gmina. Idąc po tej drodze, ustalimy, że po jednej stronie znajdą się przedsiębiorstwa państwowe i komunalne oraz społeczne (np. kooperatywy), po drugiej natomiast przedsiębiorstwa prywatne, gdzie kapitał prywatny jest zarządzany przez jego właścicieli lub pełnomocników tychże i eksploatowany pod prywatno-finansowym kątem widzenia (renta).*

*Tak pięknego i prostego schematu życie, niestety, nie potwierdza. Dzieje się to przedewszystkiem dlatego, iż sfera t. zw. inicjatywy prywatnej (czyli prywatnej dyspozycji kapitałowej) nie jest jednolita. Przeciwnie — jest ona wewnętrznie w sobie zróżniczkowana i skłócona. I to tak skłócona, że naszkicowana powyżej granica podziału poprostu się łamie i zaciera. Schemat, w myśl którego Scheibler i Grohman, Wspólnota Interesów lub kopalnictwo węglowe czy naftowe należą do prywatnej grupy inicjatywy gospodarczej, nie wytrzymuje krytyki. Wymienione — zresztą tylko exempli modo — przedsiębiorstwa i gałęzie należą przecież już do trzeciego, schyłkowego pokolenia mann'owskich Buddenbrooków. Są one niemal w całości „na garnuszku" u państwa i społeczeństwa. Czyż w takim stanie rzeczy nie należałoby postawić kropki nad i, upaństwawiając to wszystko, co jest już uspołecznione poprzez dopłaty rynku wewnętrznego, dopłaty o charakterze bynajmniej nie komercjalnym, a politycznym, socjalnym i t. p.?...*

*Jak wiemy z obliczeń, obroty przedsiębiorstw odcinka upaństwowionego (przedsiębiorstwa skomercjalizowane i niewydzielone, monopole, P. K. P. i poczta) lub będącego współwłasnością kapitału państwowego i prywatnego (przedsiębiorstwa mieszane) wynosiły przed dwoma laty ok. 17% ogólnego obrotu. Że to jest wiele, nie trzeba przekonywać siebie i innych. Ale czy może być mniej? Jeżeli konjunktura się poprawi, obroty ogólnokrajowe wzrosną, to i wspomniany odsetek zmaleje. Bo odcinek państwowy i pół-państwowy jest sztywny i będzie dzielił złe i dobre losy budżetu państwa. Budżet państwa, który dzisiaj pochłania nadmiernie dużą część dochodu społecznego, jest ofiarą, a nie sprawcą wypadków: dochód społeczny kurczy się elastyczniej niż budżety publiczne, tak jak jedne ciała pod wpływem temperatury zmieniają swą objętość w stopniu większym od innych ciał. Budżet państwowy zeszedł dzisiaj do swego minimum egzystencji, a w razie poprawy konjunktury może czas pewien traktować to minimum jako granicę górną, podczas gdy dochód społeczny będzie wolniej lub szybciej wzrastał. Niemal takie samo zjawisko zajdzie w stosunku do „objętości" obrotów na odcinku państwowej dyspozycji kapitałowej, której przecież lwia część przypada na monopole fiskalne, kolej i pocztę, a więc pozycje, uzupełniające budżet wprost i bezpośrednio.*

*Publicysta i czytelnik czyta „Kurjera Polskiego", czyta — dajmy na to — „Kurjera Warszawskiego" wyobrażają sobie, że — pomijając kwestję ciężaru opodatkowania — inicjatywa czyli ryzyko prywatnego przedsiębiorcy musi brać na siebie ciężar dodatkowy, wymyślony przez państwo na użytek tępej biurokracji. „W gospodarstwie przedwojennem — poucza nas p. S. Z. w „Kurjerze Warszawskim" z 7.IV b. r. — przedsiębiorca nie liczył się zupełnie z takiemi ewentualnościami, jak moratorjum, nagła zmiana taryfy celnej, pożyczka przymusowa lub fantastyczny wymiar podatku dochodowego", natomiast „znał i doświadczał codziennie ryzyka, wynikającego z wolnej konkurencji". Znając historję gospodarczą Europy bezpośrednio przed wielką wojną, jakoś się wierzyć nie chce, że taka to wówczas była sielanka, że nie istniały kartele, koncerny i trusty, a na ich temat bogata literatura i — ustawy, że państwo było tylko stróżem nocnym etc. A dzisiaj? Dzisiaj — powiada p. S. Z. — „rynek wolny jest w wysokim stopniu ograniczony, monopole prawne i faktyczne, koncesje i przywileje, wyłączności i zastrzeżenia... tworzą taką sytuację, że nikt dokładnie nie wie, gdzie zaczyna się wolny rynek i gdzieby mogłaby znaleść zastosowanie inicjatywa prywatna". Coprawda, jeżeli nawet do 17% obrotów, przypadających na państwo, dodać te 30 kilka %, jakie objęła produkcja skartelizowana, to zawsze jeszcze z 50% obrotów pozostanie dla t. zw. wolnego rynku. Czy zupełnie wolnego? Przecież raz po raz przedstawiciele tego właśnie rynku zabiegają u rządu o wysoką ochronę celną, o zamówienia publiczne, o reglamentację prawną (vide próby reformy prawa przemysłowego) i t. d. Typowy obywatel, czując na własnej skórze nasze zaniedbania z okresu niewoli, domaga się (i słusznie), aby je czemprędzej usunąć — mniejsza o koszty (od tego jest przecież państwo lub gmina). Ten sam obywatel chce, by mu państwo na każdym kroku pomagało i torowało drogi, o czem przed wojną jakoś nie mówiono. Typowy obywatel żąda od biurokracji współdziałania, ale nie chce na tę biurokrację płacić, a potem się zżyma, że biurokracja pracuje ciężko i złośliwie.*

*Publicysta „Kurjera Warszawskiego" ubolewa, że prywatna inicjatywa ma już wszystko zreglamentowane: i cenę surowca i płacę roboczą i komorne i oprocentowanie kapitału. Nie słyszeliśmy, jako żywo, o sztywnej reglamentacji płac, czego dowodem ich stała zniżka i — strejki, co się zaś tyczy reglamentacji komornego i stopy procentowej, to chyba się na nią mogą skarżyć właściciele nieruchomości i banki, ale nigdy przemysłowo-handlowy odłam „inicjatywy prywatnej". I przecież ten sam „Kurjer Warszawski" niejednokrotnie dawał wyraz swemu niezadowoleniu z wyjęcia większych i średnich zakładów i sklepów spod ochrony lokatorów. Jedynie trafne spostrzeżenie zrobił p. S. Z. w odniesieniu do reglamentacji cen surowców. Co racja to racja.*

*Słowom: inicjatywa prywatna możnaby i należało naadć przedewszystkiem sens bodźca do doskonalenia się i postępu, do kontentowania się małem i do działalności, nie kłodącej się wpoprzek interesu publicznego i innych grup społecznych czy gospodarczych. Przedsiębiorca w Polsce przypomina b. często warszawskiego dorożkarza: t. zw. pospolicie „sałata" wyróżnia się, jak wiadomo, pochopnością do kawalerskiej jazdy, gdy gość jest „zawiany", pasją tarasowania drogi bardziej postępowym środkom lokomocji („nie żeby potrzebował, ale tak, na złość") i nie darowywaniem żadnej okazji, kiedy naprzekór znienawidzonej taksie można pasażera obedrzeć ze skóry (za rosyjskich „dobrych czasów" brało się trzy ruble...). Gdy „Polska Zbrojna" wspomniała o uprzemysłowieniu kraju, ale nie położyła akcentu na słowie: rentowność, jej wywody spotkały się z dość kwaśnem przyjęciem. Zapał do uprzemysłowienia wygasł. Bo gdyby tak można było raz-dwa zarobić, z rączki do rączki, bez trudu i ryzyka, to napewno zwolennicy t. zw. inicjatywy prywatnej byliby w siódmem niebie. Gdy taka „przedsiębiorczość" niezbyt może liczyć na przyjęcie, podnosi się krzyk o zamachu na inicjatywę prywatną.*

*Na szczęście dla tej ostatniej, nic ona sobie nie robi z tego, co o niej piszą. Pokonywanie przeszkód, wyrosłych na takiem samem podglebiu, z jakiego wywodzą się reprezentanci owej inicjatywy, tudzież dostosowanie się do twardych wymagań, podyktowanych polskiemu gospodarstwu narodowemu przez potężny wstrząs w organizmie współczesnego, skomplikowanego kapitalizmu: wszystko to hartuje i wyrabia prawdziwie czynną i zdrową inicjatywę prywatną. Fakty, jakie nas dochodzą z terenu pracy ukraińców w Małopolsce Wschodniej, świadczą dobitnie o tem, że o istnieniu prawdziwej inicjatywy prywatnej decydują w pierwszym rzędzie czynniki woluntarystyczne i emocjonalne.*

## Z życia Polaków zagranicą

E. Wachnowska

# Szkolnictwo polskie na Łotwie

Jedną z najbardziej palących kwestji mniejszości polskiej na Łotwie jest sprawa szkolnictwa. Zanim przejdziemy do faktów prawdziwych, opisujących jak rząd łotewski wprowadza w życie hasło rzucone przez Ulmanisa „Łotwa dla Łotyszy" i jak to hasło odbiło się na sprawie szkolnictwa polskiego — warto zwrócić uwagę na artykuł zamieszczony w dzienniku „Pedeja Bridi" w końcu roku ub., ilustrujący obraz szkolnictwa polskiego. Artykuł nosi tytuł „O szkolnictwie polskiem w Latgalji" (dawne Inflanty). Oto początek tego artykułu:

„Liczba szkół łotewskich szczególnie się zwiększyła w ostatnich dwóch latach na pograniczu w powiatach dyneburskim i lucyńskim. To samo zjawisko obserwuje się również w całym pow. iłłuksztańskim, gdzie powstały tylko trzy rosyjskie szkoły powszechne, zaś żadnej polskiej i białoruskiej. Wszystko to odbywa się z inicjatywy ludności, ponieważ sami rodzice pragną wychowywać swe dzieci w duchu łotewskim". Dalej artykuł pisze o zamknięciu wielu szkół polskich w tych powiatach i o tem, że obecnie odbywa się zamykanie szkół w powiecie rzeżyckim (miejscowości: Dubulach i Feimnach). Szkoły te podlegają zamknięciu jakoby z powodu braku uczącej się młodzieży. Na zakończenie dziennik podaje: „katolicy *), których dzieci uczęszczają do szkół łotewskich uważają siebie za Łotyszów, co jest bardzo charakterystycznem, gdyż dawniej pojęcie o narodowości było bardzo niewyraźne. A więc wszędzie ilość uczącej się polskiej młodzieży zmniejszyła się niezmiernie. W jednej tylko polskiej szkole w Małcie (Rozentowie) ilość uczni nie zmniejszyła się. Pracuje tam obecnie pewien znany ksiądz - Polak".

Doprawdy że „Pedeja Bridi" conajmniej dziwne posiada wiadomości! Pisze o szkole w Małcie, a szkoła ta oddawna już nie istnieje! Tenże sam dziennik z 27/X 1935 r. podaje dane tyczące się szkolnictwa w Krasławiu. Przyznaje, że Krasław był dawniej najmniej łotewskiem miastem w Latgalji, a to dlatego, że obywatelstwo polskie miało wpływ na Latgalczyków - katolików, podobnie jak i klasztor polski w Krasławiu. Powszechną szkołę polską **) w tej miejscowości dziennik nazywa „prawdziwą fabryką polonizacyjną". Dalej podaje, że jeszcze przed kilku laty naliczono Polaków 32%, Łotyszów 16%, lecz po 15 maja 1934 r., t. j. po przewrocie Ulmanisa, obraz się zmienił. Spis ludności z 1935 r. podaje: 32% Łotyszów, a Polaków 16%. Narodowości zamieniły się miejscami. Jak to się stało, wytłomaczyć mogą tylko Łotysze. Liczba uczni w szkole polskiej zmniejszyła się do 100, a w 1935 roku do 70, więc mniej od wymaganej normy (80). Z tego powodu szkołę się likwiduje. Wogóle rok szkolny 1935/36 jest pod znakiem likwidacji szkół polskich.

W roku 1930/31 zanotowano 45 szkół powszechnych, dzieci 5274, nauczycieli 240.

W roku 1934/35 — 21 szkół, dzieci 2903, nauczycieli 150.

*) Religja panująca w Łotwie jest ewangelicka. To też „Katolik" jest synonimem „Polaka".
**) Składa się z 200 uczni.

A więc w ciągu czterech lat zamknięto 24 szkoły powszechne, czyli o połowę skurczyło się szkolnictwo. Pozatem rozwiązanie przez Rząd Związku Polaków na Łotwie spowodowało zamknięcie 6 szkół utrzymywanych przez ten Związek.

Oto wymowna tabela szkół powszechnych.

| | 1930/31 | 1934/35 | spadek o |
|---|---|---|---|
| Niemcy | 89 szkół | 82 szkoły | 7,9% |
| Rosjanie | 243 „ | 198 „ | 18,5% |
| Żydzi | 94 „ | 69 „ | 26,6% |
| Polacy | 45 „ | 22 „ | 51,1% |

Zapisana ilość dzieci jako Polaków w roku 1931/32 — 8069, w roku 1933/34 — 8261, a w roku 1934/35 — 6467.

Tu doszliśmy do kulminacyjnego punktu tendencyjnej nieścisłości i urabiania fałszywej statystyki przez Łotyszy. Nauka w szkołach powszechnych jest obowiązująca,a więc w jaki sposób ilość dzieci nie zwiększyła się? Że ilość dzieci w szkołach polskich się zmniejsza, to niema w tem nic dziwnego, gdyż fakt ten tłomaczy się przez zamykanie szkół; lecz w jaki sposób ogólnie zmniejsza się ilość dzieci polskich w szkołach powszechnych, jest tajemnicą, którą tylko władze łotewskie mogłyby wyświetlić.

Jeden z artykułów ustawy łotewskiej z 1934 roku o oświacie ludowej, artykuł 617 ustala, że dzieci z małżeństw mieszanych są narodowości łotewskiej i jako takie muszą uczęszczać do szkoły łotewskiej, lecz z małżeństw mieszanych, z których żadna strona nie jest narodowości łotewskiej, narodowość dziecka określa się narodowością ojca.

Władze używają różnych sposobów, aby uniemożliwić oddanie dziecka do polskiej szkoły; dochodzą w swem zacietrzewieniu nawet do tego, że grożą ojcu dziecka utratą posady, jeżeli nie będzie oddane do szkoły łotewskiej. A oto jeszcze inne sposoby: dzieci władające biegle w swoim języku mogą uczęszczać do odnośnej szkoły. W przeciwnym wypadku dzieci muszą się uczyć w szkole z językiem państwowym. Nie trzeba chyba dodawać, że zawsze można, jeśli się zechce, stwierdzić nieumiejętność językową. Drugi, często praktykowany sposób, to nazwiska. Poprostu władze uważają, że dane nazwisko ma dźwięk łotewski, a więc jego właściciel jest Łotyszem. Na każdym kroku władze wszystko czynią, aby ilość polskich szkół (nawet przy największym skupieniu Polaków), sprowadzić do minimum. Przykładem tego jest fakt, że na 9.000 ludności polskiej w Dynaburgu są zaledwie dwie szkoły polskie powszechne (dawniej były cztery), które w 1935 roku zostały umieszczone w jednym budynku, a w dzielnicy gęsto zaludnionej przez Polaków umieszczono łotewską szkołę powszechną. Wzruszające są fakty, gdy dzieci odbywają wędrówki po 8 do 10 kilometrów, by tylko być w polskiej szkole. Najcięższa sytuacja jest w pow. iłłuksztańskim. W powiecie tym najwięcej się skupia Polaków, natomiast szkoły polskiej wcale niema.*). W podobnej sytuacji znalazło się miasteczko Lucyn, gdzie na 2.500 dzieci polskich niema szkoły. Ostatnio wymyślono jeszcze jedną trudność dostania się do szkoły polskiej. Polega ona na tem, że władze szkolne żądają zaświadczenia gminy o polskiem pochodzeniu dziecka. Niby w tem jeszcze nie było strasznego, gdyby nie to, że gmina zasadniczo odmawia wydania takich zaświadczeń.

Smutny wypadek rozegrał się jesienią 1935 roku w Swęteniu, pow. iłłuksztańskiego, gdzie dzieciom polskim, uczęszczającym do szkoły łotewskiej władze odbierały książki**) drwiąc, że przed szkołą czeka już samochód, który zabierze ich do Warszawy, gdzie „niech wam książki dają". W miejscowości Posin, gdzie jest polska szkoła, ksiądz Locan, słynny ze swych wystąpień polakożerczych, udziela lekcji religji w języku rosyjskim, twierdząc, że dzieci nie rozumieją po polsku, co nie jest zgodne z prawdą.

Do szeregu likwidujących się szkół powszechnych przybyła jeszcze jedyna szkoła zawodowa, siedzibą której był Dynaburg.

*) W okresie od 1931 do 1934 r. zamknięto w tym powiecie wszystkie szkoły. Było ich 27.
**) W Łotwie władze dają wszystkie książki dzieciom bezpłatnie.

Trochę lepiej przedstawia się szkolnictwo średnie. Chociaż w Rydze zamknięto miejskie gimnazjum, lecz otworzono państwowe gimnazjum polskie. Drugie państwowe gimnazjum jest w Dynaburgu, trzecie prywatne w Rzeżycy, grozi mu likwidacja z powodu małej ilości uczniów. W gimnazjach polskich w roku 1935 było 268 uczniów. W gimnazjach łotewskich 293 uczniów Polaków. Cyfry te są bardzo wymowne i smutne. A teraz mała tabelka zakładów naukowych mniejszości:

| | | |
|---|---|---|
| Rosjanie mają | 241 | zakładów |
| Żydzi | 119 | „ |
| Niemcy | 101 | „ |
| Polacy | 28 | „ |

Reasumując to wszystko musimy dojść do smutnej refleksji, że w bardzo prędkim czasie młodzież nasza na Łotwie zostanie zupełnie pozbawiona możności uczenia się w swoim języku. Hasło Ulmanisa „Łotwa dla Łotyszy" ma za cel w pierwszym rzędzie odebrania szkół mniejszości polskiej. Z trwogą patrzą Polacy zamieszkali na Łotwie w przyszłość, z zupełnie uzasadnioną trwogą. Odebranie dziecku szkoły, to pozbawienie go poznania języka, historji i kultury swego narodu. Czyżby tak rychło zapomniała Łotwa, że armja polska przyczyniła się do zdobycia i ugruntowania jej wolności?! Czyż w niepamięć poszedł rok 1919 i 1920, lata polskiej dywizji nad Dźwiną?

## U sąsiadów

J. R.

# Słowackie komplikacje

Gdy w zimie r. b. utworzony został w Czechosłowacji rząd, którego prezesem został dr. Hodża, Słowak i syn znanego w dziejach słowackich działacza narodowego, powitane to było nietylko w Czechosłowacji jako symptom mającej nastapić likwidacji „problemu słowackiego". Zapowiedział to zresztą sam Hodża, który oświadczył, że rozwiązanie problemu słowackiego będzie „osobistą jego ambicją". W ślad za tą zapowiedzią, w końcu stycznia rozpoczęły się pierwsze rozmowy Hodży z przedstawicielami głównej siły słowackiej opozycji, Słowackiego Stronnictwa Ludowego (katolickiego), mające na celu wciągnięcie opozycji do „twórczej pracy państwowej".

Rokowania te trwały dwa miesiące. Dwa miesiące usiłowano uzgodnić wzajemne stanowiska, aby osiągnąć jakiekolwiek formy współpracy czy porozumienia. A stanowiska te były biegunowo różne. Hlinkowcy nie chcieli zadowolić się ofiarowaniem im paru tek ministerjalnych i mglistych obietnic jak w r. 1927. Jasno i otwarcie sformułowali swe żądania: *prawne uznanie istnienia narodu słowackiego, wprowadzenie wyłączne słowackiego języka w urzędach na Słowacji, ustanowienie ciała prawodawczego i osobnego ministerstwa dla Słowacji, rozszerzenie praw reprezentacji krajowej i ciał samorządowych*, szereg żądań gospodarczych oświatowych. Odstąpienie od tych żądań Słowacka Partja Ludowa uznałaby za sprzeniewierzenie się zaufaniu swych wyborców.

Sfery rządowe uznały postawienie tych warunków za dążenie do rozbicia jedności państwowej Czechosłowacji. Programowi Hlinki, będącemu sformułowaniem autonomji i wyodrębnienia Słowacji, przeciwstawiono program t. zw. „decentralizacji", t. zn. przerzucenia części decyzji i zadań na ośrodki prowincjonalne i ciała samorządowe; pozatem „ludowcom" ofiarowano kilka tek ministerjalnych. Ze strony „ludowców" przyjęto te decentralizację zupełnie obojętnie, jako coś co i tak prędzej czy później, w tej czy w innej formie musiałoby być przeprowadzone. A z żadnych swych dezyderatów „ludowcy" się nie cofnęli, cofnąć się nie mogli. Bo i jakże? Oni, którzy tyle lat walczyli o autonomję, dla niej znosili najgorsze prześladowania, mieliby się jej zrzec jednem pociągnięciem pióra za tę miskę soczewicy, jaką ma być parę tek ministerjalnych i jakiś mętny „regjonalizm"? O nigdy! Wszak oni te żądania uważali tylko za swe minimum...

Było to może minimum, ale zrozumiałą jest rzeczą, że koalicja rządowa nawet na to minimum zgodzić się nie mogła. Przekreślał on cały jej dotychczasowy program w sprawie słowackiej. Jakże ona po tylu latach wysiłków, po słowackich odczytach dr. Benesza w 1933 r., po enuncjacjach Hodży o „narodzie czechosłowackim" mogłaby się zgodzić na uznanie praw narodu słowackiego, który uznała za anomalję, węgiersko-polski wymysł dla rozsadzenia jednolitości Czechosłowacji, chorobliwy partykularyzm, który musi się wlać do „potężnego strumienia narodu czechosłowackiego"?

Dwa stanowiska nie dały się więc pogodzić. Na ostatniej konferencji przedstawicieli koalicji rządowej z pełnomocnikami „ludowców" Tisom, Mederlym i Sokolem, 26 marca, po trzygodzinnej dyskusji delegaci autonomistów zmuszeni byli stwierdzić, że „dla potrzeb Słowacji niema zrozumienia w szeregach koalicji". Dzień potem zebrało się prezydjum Słowackiego Stronnictwa Ludowego. Przed posiedzeniem ks. Hlinka wezwany został do premjera Hodży, który jeszcze raz, bezskutecznie, próbował nawiązać słabą nić porozumienia. Ks. Hlinka obiecał jego wywody zreferować i udał się do lokalu klubu parlamentarnego stronnictwa. O godz. w pół do jedenastej otworzył posiedzenie, wzywając wszystkich obecnych posłów i senatorów stronnictwa do głębokiego i sumiennego zastanowienia się nad decyzją, której podjęcie rozstrzygnie o przyszłości nietylko stronnictwa, ale i całego narodu słowackiego, wskazując na głęboką odpowiedzialność, którą każdy z obecnych ponosić będzie za to przed Bogiem i Narodem.

Po zreferowaniu sytuacji i wyników układów z koalicją, nastąpiła krótka dyskusja. Decyzja była jednomyślna: o godz. 1-ej ks. Hlinka połączył się telefonicznie z Hodżą i oznajmił mu, że ponieważ „idea autonomji nie dojrzała jeszcze w sercach członków koalicji rządowej" więc stronnictwo zmuszone jest pozostać w opozycji.

Dwumiesięczne rokowania były więc zerwane. Główny organ autonomistów „Slovak" zapowiedział, że Słowacy walki się nie boją, że czują się do niej całkowicie przygotowani i zahartowani, i że w poczuciu ciążącej na nich odpowiedzialności za los narodu słowackiego przystępują do zaostrzonej opozycji. Rozgrywka między praskim centralizmem a słowackim autonomizmem nietylko że nie została więc złagodzona, ale nawet doznała wyraźnego zaostrzenia.

## Czytelniku!

**Z dniem 1-go kwietnia r. b. zostały wstrzymane wszelkie dotychczas wysyłane egzemplarze okazowe „Narodu i Państwa."**

**Sprawdź czyś opłacił prenumeratę za kwartał II-gi r. b. Pamiętaj numer konta P. K. O. — 111.44.**

# DROGI I BEZDROŻA

## Zmierzch złudzeń szlachetnego mieszczanina

*Karykatura europejska, najlepiej odzwierciadlająca nastroje dnia, przedstawia anioła pokoju w bardzo złej formie. W niezliczonych warjantach występuje on z połamanemi skrzydłami, w potarganej koszuli, rozczochrany, słowem wygląd ma godny pożałowania. Obok niego zjawia się ohydna zjawa Marsa, z dzikim wyrazem twarzy, depczącego mogiły żołnierzy wielkiej wojny, lub niszczącego dorobek żyjących.*

*Nic lepiej nie zilustruje bankructwa złudzeń mieszczańskiego pacyfizmu, tego oficjalnego i tego nieoficjalnego, który po r. 1918 rozbrzmiewał po całej Europie wielojęzycznem hasłem: „nie wieder Krug", „la guerre jamais", hasłem triumfującej ludzkości. A jednak po roku 1918 rzeczywiście— poza garścią bezrobotnych rewanżystów nikt nie chciał wojny. Wola pokoju była powszechna, świadomość potrzeby organizowania pokoju również ogólna. Pacyfizm — urzędowy, czy nieurzędowy — panował w nastrojach i umysłach Europejczyków. Pacyfiści mieli przed sobą perspektywę dłuższego czasu, mogli bowiem swobodnie działać tak długo, dopóki nie podrosło nowe pokolenie, zrodzone po roku 1900, to pokolenie, które wojny nie zaznało. I dzisiaj jeszcze pacyfiści mają pewne szanse, ponieważ ludzie urodzeni przed r. 1900 mają jeszcze więcej do powiedzenia, aniżeli ich spadkobiercy; każdy rok jednak przesuwa stosunek sił na niekorzyść tego pokolenia, które nie chce przeżywać wojny po raz drugi.*

*Po roku 1914 przewinęło się w 30 narodach Europy dobrych kilkuset mężów stanu, którzy wszyscy w ten lub inny sposób byli przedstawicielami tego oficjalnego pacyfizmu rządów, jaki sobie wybudował świątynię nad Lemanem. Jeździło się z konferencji na konferencję. Hotelarze, szoferzy, kelnerzy i fordanserki, całe to bractwo, które obsługuje międzynarodowych turystów z grubemi portfelami, zarobiło wiele pieniędzy z podatków, płaconych przez szarego człowieka, który dzięki temu miał tę oczywistą pociechę, że codziennie przy białej kawie mógł w swoim dzienniku przeczytać, że wojny w każdym razie nie będzie. Ten urzędowy pacyfizm miał konkurenta tylko w bojowym pacyfizmie elity liberalnej burżuazji, zorganizowanej w przeróżnych „ligach" pokoju i międzynarodowej współpracy. Ideologowie pacyfizmu demaskowali ohydną pokojowość rządów burżuazyjnych, uderzali w budżety wojskowe, wyklócali się z generałami, zażarcie broniącymi się przed bezrobociem, urządzali na swoją rękę różne międzynarodowe zjazdy i bankiety, kokietowali zwłaszcza klasę robotniczą mirażem „Stanów Zjednoczonych Europy". I jakież rezultaty? Najodważniejsi wśród nich, bo zajmujący najbardziej eksponowany odcinek walki z ideą rewanżu — pacyfiści niemieccy znaleźli się w obozach koncentracyjnych. Innym grozi bezrobocie, które natomiast zgoła nie zagraża generałom.*

*Bo szary człowiek przeczytał razu pewnego, w swoim dzienniku przy białej kawie, że wojna będzie. On, ten rzekomy suweren nawet „faszystowskich" konstytucyj, nie chce jej i nadal, podobnie jak nie chciał jej w r. 1919 (w r. 1914, to co innego, ale wtedy wyobrażał sobie wojną jako trzymiesięczną paradę huzarów). Któż jednak mógłby jej nadejściu przeszkodzić? Liga Narodów, kóra od sześciu miesięcy bezsilnie przygląda się tępieniu armji abisyńskiej przez lecące z góry bomby i gazy? A może organizacje pacyfistyczne? Jak to sobie pięknie wyobrażał szlachetny pisarz francuski: wybucha wojna i kobiety kładą się na szynach kolejowych, aby nie dopuścić do wyjazdu pociągów z rezerwistami. Gdzie w Europie znajduje się taki dworzec, na którym mogłaby rozegrać się podobna scena?*

*Neapolitanki płaczą przy odbijaniu z przystani okrętów, wiozących wojsko do Afryki.. płaczą i powiewają chusteczkami. Ale cały naród włoski żyje wojną i rozchwytuje nadzwyczajne dodatki, donoszące o zwycięstwach. Teoretyczny ongiś bellicyzm faszyzmu włoskiego urealnił się na sto procent.*

## Pacyfizm i defetyzm

*Cóż mają począć pacyfiści? W jaki sposób dzisiaj mają bronić zagrożonego pokoju? Pacyfizm deklamatorski, pacyfizm deklaracyj, potępiających militarystów i rewanżystów, wychodzi z mody. Skończył się i nikt nie da mu dziś posłuchu.*

*Pacyfizm integralny, pacyfizm ludzi za wszelką cenę chcących zachować pokój, pozostaje dzisiaj na usługach czynników, dążących do wywołania wojny. Podobnie największą siłą na usługach barbarzyństwa, likwidującego cesarstwo rzymskie, był integralny chrystjanizm mnichów, potępiający używanie broni przeciwko bliźniemu i zwalczający wszelką organizację państwową, jako zło samo w sobie. Integralni pacyfiści konsekwentnie powinniby dzisiaj zabiegać o przyjęcie przez rządy białej koalicji wszelkich propozycyj Hitlera; każdy bowiem sprzeciw, no i zatarg z „Trzecią Rzeszą" może wywołać wojnę. Takim logicznym pacyfistą jest już Felicjan Challaye, którego Romain Rolland — oczywiście słusznie — gromi na łamach tygodnika „Vendredi".— „Najlepsza sposobność dla Hitlera udowodnienia szczerej woli pokoju, to przyjęcie naszej propozycji paktu europejskiego o wzajemnej pomocy" — wyjaśnia przytem autor „Ame enchantée" — bezkompromisowemu obrońcy zasady „nie sprzeciwiania się złu". Dobrze, ale co nam poradzi p. Romain Rolland, jeśli Hitler odrzuci tego rodzaju dowód dobrej woli, lub jeśli nawet przyjmie pakt europejski, by po kilku latach okazać, że był to jeszcze jeden „świstek papieru"? Na to pytanie musi dać jasną odpowiedź „światowy kongres pokoju", organizowany przez komitet paryski.*

*Pacyfizm przyjmuje dziś hasło „wojna wojnie", przyłącza się do tych sił, które w całej Europie mobilizują się przeciwko faszyzmowi i reakcji. Ale „wojna wojnie", to także — tout court — wojna. W interesującym artykule na łamach „Oblicza dnia" p. Stefanja Zahorska słusznie mówi o „odkłamaniu pacyfistycznego frazesu, aspołecznego, bezprogramowego, pseudohumanitarnego bujania, które czerpało swe natchnienie z szerokich, ogólnoludzkich, lirycznych nastrojów i którego liryka w ciągu dwóch dni lipcowej mobilizacji w 1914 r. zamieniła się w fontary bojowe". Słusznie obwieszcza kryzys tego wewnętrznie pustego pacyfizmu, „najlepszego sojusznika Kruppów i Schneider-Creuzotów" i dodaje, że „tego, co teraz wyrosło na jego miejscu, może wcale nie należałoby nazywać pacyfizmem".*

*Artykuł p. Zahorskiej na łamach czasopisma lewicowego — bardziej lewicowego, aniżeli „Robotnik", gdzie ton nadaje socjalista Niedziałkowski — jest odważny i jest uczciwy. „Oblicze dnia" podnosi, że istnieją „kraje istotnie i niekłamliwie zainteresowane w utrzymaniu pokoju, których siła — także siła zbrojna — stanowi poręką walki z wojną. „Front niepodzielnego pokoju" (tylko gdzie się on zaczyna i gdzie się kończy) — „nie gardzi uzbrojonym sojusznikiem, jeśli mu wierzy".*

*Pacyfizmu już niemo, jest wola walki o pokój w demokracjach Europy—przy wyzyskaniu sił zbrojnych, które jedynie mogą trzymać w szachu imperjolistów, ekspansjonistów i rewanżystów; jest idea „zagrodzenia drogi faszyzmowi... póki można, to środkami pokojowemi, ale w razie potrzeby także i na polach bitew. Czy tylko przyjaciele p. Romain Rollanda zdają sobie należycie sprawę z tego, że wojsko polskie jest im koniecznie potrzebne, jeśli chcą utrzymać pokój oraz zbudować barjerę „na drodze rozwoju i rozprzestrzenienia się pacyfizmu?" Czy doceniają oni, że Polska w pierwszym rzędzie należy do „krajów istotnie i niekłamanie zainteresowanych w utrzymaniu pokoju"? Ojczyzna nasza, to największe — obok Szampanji — pobojowisko Europy...*

## Kilka słów o przemarszach

*Nie chcemy się na tem właśnie miejscu rozwodzić nad psychologicznie fałszywemi (choćby nawet rzeczowo uzasadnionemi) posunięciami naszej dyplomacji, które wielce mogły przyczynić się do tego, że misja Polski i jej aktualna rola jeszcze nie znajdują właściwej oceny w kołach europejskich przeciwników „faszyzmu" i bellicyzmu Trzeciej Rzeszy.*

*Chcemy tylko na zakończenie tego niepociesznego feljetonu podzielić się z czytelnikami świetną myślą, która chyba najlepiej świadczy o naszych polskich wrodzonych zdolnościach prowadzenia dobrej polityki zagranicznej i służenia sprawie pokoju.*

*— Czegoż tak się ciągle czepiają?— zżymał się w momencie przedświątecznej kanikuły nad prasą „opozycyjną" pewien bywalec pewnej kawiarni, udający wybitnego dyplomatę i dający do zrozumienia, że na ul. Wierzbowej posiada dostęp do wszystkich zakamarków—Polska zagrożona? To bzdury!.. Pokój jest zagrożony na innych odcinkach. My mamy najlepsze stosunki z naszymi sąsiadami. My jedni w całej Europie możemy spać spokojnie. A tym panom wydaje się, że mogą bezkarnie malować djabła na ścianie! To skandal...*

*— No, ale te przemarsze... — bąknąłem.*

*— Jakie przemarsze?*

*W razie wojny Niemiec z Z. S. R. R. jesteśmy w środku i terytorjum nasze musi być zagrożone — zacząłem niepewnie wyjaśniać.*

*Mój rozmówca oburzył się jeszcze bardziej.*

*— Powiedzieliśmy Goeringowi i Litwinowowi, że na żadne przemarsze się nie zgadzamy. Oni wiedzą o tem i muszą się z tem liczyć. Zrozumiano? Zresztą niech tylko spróbują! A pozatem...*

*— Jakie pozatem?*

*— Pozatem mamy jeszcze inne możliwości. O przemarszach mowy niema, to grunt. Ale na przewóz kolejowy, zapłacony gotóweczką, to jeszcze możemy się zgodzić. Pan rozumie „gotiu"... Niemcy chcą jechać na Ukrainę? Przewozimy! Ale równocześnie przewozimy wojska sowieckie do Czechosłowacji. Ach, jaki to kokosowy interes dla naszych kolei!*

*„Dyplomata" zaczął się zapalać.*

*— Proszę sobie tylko wyobrazić! Pociągi z Niemcami jadą do Kutna na Dęblin, a z bolszewikami od Łap na Skierniewice. Na dworcach warszawskich wzmocniona obsługa kieruje ruchem. Sztab niemiecki siedzi na śniadaniu w „Polonji", a sztab sowiecki popija herbatkę u Lardellego. Wydajemy przepustki na miasto, oczywiście z ograniczeniem rejonów. Ach, co za ruch! Płk. Ulrych inkasuje za bilety. Ile pieniędzy! Można będzie zatrudnić wszystkich bezrobotnych.*

*— Tak, mój panie! — zakończył wielki człowiek, wodząc dokoła triumfalnym wzrokiem. — Na polityce pokojowej możemy zarobić kokosowy interes!*

*NOSTROMO.*

---

**Jeśli jesteś przyjacielem pisma — — staraj się zjednać mu prenumeratorów**

# Z TYGODNIA

## Czy otrzeźwienie?

Sprawa zajęcia przez wojska niemieckie zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej nie schodzi jeszcze z porządku dziennego. Dostarczyła ona wielu przykrych nauczek sygnatarjuszom układów lokarneńskich, w szczególności zaś bezpośrednio dotkniętej tem posunięciem Rzeszy polityce francuskiej. Nieudolność, a przedewszystkiem niepewność środków, jakie stworzyła sobie Francja w swoim skomplikowanym systemie polityki zagranicznej, wystąpiła w sposób nader wyraźny. Nic więc dziwnego, że wśród przykrych doświadczeń objawiła się znowu w opinji francuskiej próba rewizji poglądów i że postawiono sobie ponownie pytanie, na które do tej pory nie umiano odpowiedzieć spokojnie: czy Polska, która nie szuka momentów zadrażnień z obydwoma swoimi wielkimi sąsiadami i która równocześnie idąc po linji niezależności swej polityki, zadać musiała we własnej obronie cios koncepcji francuskiej paktu wschodniego, nie jest w rzeczywistości pewniejszym sojusznikiem, aniżeli którekolwiek z innych państw Europy?

Najciekawszy z ostatnich głosów francuskich w tej sprawie jest niewątpliwie głos generała Niessel'a, byłego szefa francuskiej misji wojskowej w Polsce. Gen. Niessel udowadnia na łamach „Figaro", że Francja, w razie konfliktu z Niemcami, nie może liczyć na żadną pomoc Sowietów w formie operacyj armji sowieckiej na wschodzie Niemiec. To samo przeświadczenie powtarza gen. Niessel w stosunku do Czechosłowacji, która przecież ostatnio szczególnie wiele na tej nadziei budowała. Podkreślenia wymaga okoliczność, że gen. Niessel wykazuje w wspomnianym artykule dużo zrozumienia dla energicznego oporu Polski przeciwko przemarszowi przez jej terytorjum jakichkolwiek wojsk. Przytoczyć trzeba równocześnie drugi francuski głos, równie znamienny. Otóż „Journal de Debats" w numerze z 4 kwietnia b. r. pisze dosłownie:

„Polityka polska jest od paru lat tem, czem jest. Nie zawsze wydawało się nam, że powinna była być taką, jaką jest... Lecz koniec końców natura rzeczy i wiele powodów historycznych i uczuciowych sprawia, że dwa kraje: Francja i Polska, nie mogą się sobą nie interesować. Nie wystarcza to jednak, by stawiać Warszawie jakiekolwiek zapytania (chodzi o wersję, w myśl której Francja ma Polsce postawić zasadnicze pytanie, co do intencyj w stosunku do Sowietów — przyp. red.).

Byłoby naprzykład zupełnym absurdem zapytywać Polskę, czy w razie konfliktu byłaby ona skłonna zgodzić się na przemarsz wojsk sowieckich. A to dla dwóch powodów. Najpierw dlatego, że wiemy, iż Polska tego nie chce, co jest łatwe do zrozumienia. Powtóre dlatego, że to dostarczyłoby Hitlerowi nowych powodów do sporów proceduralnych".

Głos to trzeźwy i oddawna w prasie francuskiej niespotykany. Jeżeli dodamy jeszcze pogłoskę „Le Temps'a" o bliskich odwiedzinach we Francji generalnego insp. sił zbrojnych Polski gen. Rydza-Śmigłego, oraz serdeczne komentarze, to znajdziemy dostateczną podstawę do zadania sobie pytania: czy otrzeźwienie opinji francuskiej?

## Polska wyciąga wnioski z wyścigu zbrojeń

Sprawa Nadrenji, szybka i sprężysta odbudowa armji niemieckiej, wprowadzenie wbrew traktatowi w St. Germain powszechnej służby wojskowej w Austrji, modernizacja armji angielskiej, planowy rozwój sił zbrojnych sowieckich, wszystko to świadczy, że atmosfera w Europie coraz mniej nadaje się do snucia marzeń o stopniowem rozbrojeniu i do lekceważenia siły zbrojnej. Fakty te zasługują na tem większą uwagę Polski, która w żadnych warunkach, nawet najpomyślniejszych, na arenie międzynarodowej, nie może sobie pozwalać na bagatelizowanie spraw obrony państwa. O tem pouczają nas historja przedrozbiorowa i nasza konfiguracja geopolityczna.

Ze wszechmiar zrozumiałe jest tedy większe ostatniemi czasy, aniżeli zwykle, zainteresowanie polskiej prasy i opinji publicznej dla zagadnień obronności kraju. Wyznawało się już nawet pewną przesadę obaw, głównie z powodu powolnego rozwoju motoryzacji armji. W tej propagandzie paniki przodowało ostatnio „Słowo" wileńskie z nieodłącznym... Catem Mackiewiczem.

Panika w tej dziedzinie jest rzeczą równie szkodliwą, jak niedocenianie chmur, gromadzących się nad Europą. Jest ona zresztą i nieuzasadniona, czego najlepszym dowodem są obrady Rady Ministrów z dnia 8 b. m., w czasie których przyjęto projekt dekretu o Funduszu Obrony Narodowej. Na Fundusz złożyć się mają trzy zasadnicze rodzaje wpłat: 1) sumy płynące ze sprzedaży nieruchomości państwowych, pozostających pod zarządem wojska, a zbędnych dla niego, 2) wpłaty z wpływów, przewidzianych specjalnemi przepisami ustaw, 3) dotacje budżetowe Skarbu Państwa. Celem funduszu jest zapewnienie ciągłości w realizowaniu planu materjałowego zaopatrzenia armji, uniezależnienie go od okresów budżetowych.

Jakkolwiek przeciwko gospodarce funduszowej wysunąć można wiele zastrzeżeń, to jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że ten szczególny fundusz nastręczy ich jak najmniej.

## „Modus vivendi" w sprawach tranzytu przez Pomorze

Zatarg polsko-niemiecki, spowodowany wstrzymaniem przez Rzeszę wypłat z tytułu należności Polski za tranzyt kolejowy przez Pomorze, doznał pewnego złagodzenia w pertraktacjach, które doprowadziły do przejściowego modus vivendi. Niemcy—jak podaje PAT — zobowiązały się pokrywać bieżące należności Polsce za tranzyt, począwszy od dnia 25 marca 1936 r. w odstępach miesięcznych gotówką po około 1,5 milj. marek. Likwidacją zaległości, powstałych po dzień 25 marca 1936 r., zająć się ma odrębna komisja.

Powstaje tu pytanie, które wymaga wyjaśnienia. Dotychczasowe należności kolei polskich z tytułu tranzytu wyrażały się miesięczną kwotą circa 7 milj. marek. Ustalenie wypłat miesięcznych na około 1,5 milj. marek wskazuje więc na poważne ograniczenie kwot z tytułu tranzytu. Czy w związku z ograniczeniem stoi fakt równoczesnego ograniczenia ruchu tranzytowego, czy też liczą tu Niemcy na możność korzystania z dalszego częściowego kredytu, czy wreszcie Polska dla odzyskania części należności i usunięcia zatargu zgodziła się na tak poważną zniżkę cen tranzytowych? Na to pytanie niema jednoznacznej odpowiedzi.

Tymczasowy układ w sprawie tranzytu wytrącił Niemcom jeden z najchętniej przez nich używanych argumentów, argument istniejących w Rzeszy ograniczeń dewizowych. Okazało się, że można przecież trudności te przezwyciężyć. I to jest już wiele. Należy jednak podkreślić, że poza nawiasem uzgodnienia pozostała jeszcze sprawa zaległości oraz domagająca się pilnego rozwiązania sprawa wstrzymanych wskutek utrudnień dewizowych należności prywatnych obywateli polskich w Niemczech.

## Sprawa konfiskat

Sejm dziennikarski, obradujący w Warszawie w dniu 29 marca b. r., podjął szereg uchwał, doniosłych dla zawodu dziennikarskiego, a przez to i dla prasy jako takiej. Na szczególną uwagę zasługuje uchwała dotycząca sprawy konfiskat: „Walny Zjazd Związku Dziennikarzy R. P. stwierdza, że dotychczasowe praktyki konfiskacyjne nie są zgodne z obowiązującem ustawodawstwem prasowem, a co gorsza są różnie stosowane na różnych terenach Rzplitej. Wobec tego Zjazd wzywa wydział wykonawczy do podjęcia energicznych kroków w porozumieniu ze związkiem wydawców dla obrony wolności prasy, a przedewszystkiem: a) do przeprowadzenia tej zasady w nowej ustawie prasowej, b) do czasu wydania ustawy do podjęcia analogicznych kroków celem przeprowadzenia jej w drodze tymczasowych zarządzeń władz, c) do specjalnej interwencji na rzecz zgodnej z zasadą „wolności prasy" interpretacją artykułu 159 k. k.".

Marzenia o nieograniczonej, niczem nieskrępowanej, wolności prasy, trzeba będzie z pewnością powiesić na haku. Niemniej zewszechmiar słuszne jest to, przejawiające się w cytowanej rezolucji, wołanie o jakąś zasadę w polityce konfiskacyjnej władz państwowych. To bowiem, co obecnie w dziedzinie nadzoru prasy istnieje, jest kompletnym chaosem, dowodem zupełnego braku jakichkolwiek norm i zasad. Rzadko doprawdy wiadomo, co zdoła uniknąć ołówka cenzora, a co zostanie nim przekreślone. Skądże jednak wziąć zasady, według których miałby odbywać się nadzór władz nad prasą, skoro brak obecnie podstawowych zasad życia publicznego. Stare rozprzęgły się i rozpierzchły, nowych jeszcze niema. I w tem leży trudność również i nowego ustawodawstwa prasowego, choć niewątpliwie czas już znieść z powierzchni życia obowiązujące dzisiaj przepisy prasowe.

## Lecą drzazgi...

Prawo o stowarzyszeniach akademickich z czasu urzędowania b. min. oświaty Janusza Jędrzejewicza wprowadziło szereg nieżyciowych i niepożądanych w swobodnym rozwoju młodzieży akademickiej ograniczeń. Do nich zaliczyć należy przedewszystkiem te postanowienia, które wykluczały, albo w niezmiernie wielkim stopniu utrudniały zrzeszanie się organizacyj młodzieży akademickiej w związkach akademickich ogólnopolskich. Nawet w tych miastach, w których istnieje szereg uczelni, przeprowadzenie współdziałania między uczelnianemi organizacjami tego samego typu zostało faktycznie uniemożliwione. Że ta zasada izolacji była i jest nieżyciowa, to wykazała prędko praktyka. Młodzież musiała z konieczności ustawę obchodzić, aby nie zrezygnować z tych udogodnień i wartości, jakie daje współdziałanie międzyuczelniane.

Furtki znalazły się szybko. Twórcom prawa o stowarzyszeniach akademickich chodziło głównie o izolację t. zw. organizacyj ideowych. Tymczasem te poradziły sobie najprędzej z problemem zrzeszenia się na płaszczyźnie ogólnopolskiej. W pozaakademickich, rejestrowanych u władz administracji ogólnej, ośrodkach, znalazły sobie miejsce dla odbywania zjazdów międzyorganizacyjnych, międzyśrodowiskowych i międzyuczelnianych oraz istnienia władz, czuwających nad wykonaniem przyjętych na zjazdach uchwał. Nie można oczywiście utrzymywać, by to było normalne.

O nieżyciowości wspomnianych przepisów i rozwiniętej na ich tle praktyki świadczy dobitnie rozporządzenie obecnego min. W. R. i O. P., który uczuł się zniewolonym zezwolić na zebrania międzyuczelniane w sprawach naukowych i religijnych. Dlaczegóżby wobec tego miały być gorsze organizacje ideowe, samopomocowe i inne? Z prawa o stowarzyszeniach akademickich lecą... drzazgi! Nie świadczy to dobrze o zdrowiu i trwałości samego pnia.

---

**Z dniem 1 kwietnia Redakcja i Administracja „Narodu i Państwa" zostały przeniesione na ul. Widok 3 m. 33, tel. 6.09.70**

---

# PRZEGLĄD PRASY

## Frankofile na rozdrożu

Brak krytycyzmu w frankofilskiem nastawieniu Stronnictwa Narodowego ustępuje — zdaje się — miejsca poważnemu otrzeźwieniu. Francuskie plany nowego Locarna nie mają zbyt wielu entuzjastów. Z całem uznaniem podkreślić należy naprzykład głos p. S. K. w *Warszawskim Dzienniku Narodowym*, który w ten sposób pisze o sprawie ewentualnego przemarszu wojsk sowieckich przez Polskę:

*„Uważamy za swój obowiązek stwierdzić, że niezależnie od tego, kto dziś w Polsce rządzi, pogląd na zezwolenie wojskom sowieckim na ich przemarsz, jest w społeczeństwie polskiem całkowicie jednolity: jesteśmy bezwzględnie, stanowczo i nieodwołalnie przeciwni takiemu zezwoleniu!"*

*„...Sądzimy, że Polska musiałaby w całej pełni, w całej rozciągłości wypełnić zobowiązania, wynikające z sojuszu, łączącego ją z Francją. Lecz inną zgoła rzeczą jest dopuszczenie wkroczenia wojsk sowieckich na nasze terytorjum. Gdyby nie sprzeciwił się temu rząd polski, to przeciwstawiłoby się temu społeczeństwo polskie".*

Głos przytoczony wyżej, to głos wysoce interesujący i rozumny. Endecy mają w ostatnim czasie jednak i inne kłopoty z Francją. Zapewnienia niezłomnej wierności i oddania dla Francji niebardzo mogą przejść im dzisiaj przez gardło, gdy „Temps" drukuje namiętny apel pod adresem Polski, by „w interesie porozumienia z Sowietami zrezygnowała u siebie z akcji przeciwżydowskiej". Wymagania Francji w stosunku do sojuszniczki rosną w tak szybkiem tempie, że to nawet endekom nie może się podobać — zwłaszcza, że ugodzono ich w najczulsze miejsce. Tu już ostro zastrzega się *Warszawski Dziennik Narodowy* przed radami Francji i jej opieką:

*„Polska obecna nie jest jakąś Abisynją, by kupowała przyjaźń czy sojusz sąsiadów za cenę swej niezawisłości politycznej i swego honoru. Politykę wewnętrzną prowadzimy taką, jaką uważamy za korzystną dla Polski, bez względu na to, czy się ona Sowietom, Francji lub Niemcom podoba lub nie podoba".*

Pocieszają się wprawdzie endecy, że polski antysemityzm nie przeszkodzi dalszej przyjaźni francusko-polskiej, ale powody tego ustępstwa ze strony Francji upatrują.., w utylitarystycznej postawie Francji wobec sojusznika:

*„Francuzi są zbyt wielkimi realistami w polityce i pielęgnują dzisiaj przyjaźń z antydemokratycznym faszyzmem włoskim i z despotyzmem sowieckim równie chętnie, jak przed wojną entuzjazmowali się do caratu, mimo jego antysemickiej polityki i mimo pogromów, urządzanych przez rosyjską biurokrację".*

A w tym samym numerze pisma pisze się jeszcze:

*„Wyjątkowe stanowisko Polski w Europie wschodniej, jej obszar i zaludnienie, nakładają na politykę polską szczególne zadania. Musi ona, zachowując ścisły sojusz z Francją, jako swój kamień węgielny, szukać własnych dróg i własnych przeznaczeń. Obok systemu francuskiego, istniejącego już w Europie środkowej, musi powstać system polski, ściśle z nim sharmonizowany, ale zachowujący swą niezależność". Polityka naszego sprzymierzeńca musi być oparta na lojalnem przestrzeganiu interesów narodowych jednej i drugiej strony i na głębszem zrozumieniu całokształtu polityki obu państw".*

Do zdania powyższego również nie potrzeba nic dodawać. Trzeba tylko, by stało ono naprawdę wyrazem stałych nastrojów i poglądów obozu, który nie zawsze umie równie wyraźnie formułować postulat istotnej niezależności politycznej własnego Państwa.

## Litwinow w kinie czy w M. S. Z.?

*„Nasz Przegląd"* ubolewa, że *„od lat przejeżdża przez Polskę tranzytem komisarz ludowy dla spraw zagranicznych Maksym Maksymowicz Litwinow"* — i że nie zatrzymuje się w Warszawie. Najwyżej zdąży odbyć krótką rozmowę z ambasadorem sowieckim, wypić kawę w cukierni lub oglądnąć nowy film w kinie warszawskiem. Nie starczy jednak nigdy czasu na wizytę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Na terenie międzynarodowym podobno także nie ma sposobności spotkać się z min. Beckiem.

P. Regnis sygnalizuje jednak możliwość zmiany. Nadzieję tę dają mu depesze z Londynu, według których

*„Litwinow przysiadł się do Becka. Minister Spraw Zagranicznych Polski szepce coś na ucho komisarzowi ludowemu..."*

W drodze powrotnej z Londynu nie doszło jednak znowu do wymiany zdań i poglądów w Warszawie (była tylko wymiana wizytówek), ponieważ na drodze stanęła wizyta min. Muntersa.

„Nasz Przegląd" wskazuje jednak na możliwość innych okazyj, które mogą spowodować, że

*„przy następnej podróży z Moskwy przez Warszawę, o ile nie stanie na przeszkodzie jakiś geopolityczny sojusznik, komisarz ludowy Litwinow bawić będzie już nie tranzytem. Tak zapowiadają w pewnych kołach politycznych, mówiąc o możliwem odprężeniu stosunków polsko-sowieckich w 15-tą rocznicę traktatu ryskiego".*

## Naprawiacze w modzie!

Żyjemy jednak w czasach bardzo emocjonujących. Kawiarniane konwentykle goniących za sensacją polityczną dziennikarzy i wyaranżerowanych polityków snują najdziwaczniejsze domysły na temat przyszłego układu stosunków w wewnętrznem życiu społeczno-politycznem Polski. Kto? co? i jak? — to centralne zagadnienie wszystkich rozmów.

Największą uwagę prasy wszystkich odcieni ściągają ostatnio „naprawiacze", o których nie przestaje się mówić i pisać. Pisze się prawdę i niesłychane brednie — ale pisze się i pisze wciąż... Ostrzeżenie „naprawiacze ante portas" nie daje już dzisiaj spać nietylko p. Catowi, niezłomnie roztaczającemu obrazy objęcia władzy przez tychże naprawiaczy, ale i przedstawicielom innych grup politycznych. Każda wypowiedź poselska, każdy artykuł „Narodu i Państwa" — znajduje odrazu obszerny i zawiły komentarz.

Ostatnio *„Dziennik Bydgoski"* stwierdza, że *„stanowisko t. zw. naprawiaczy w obecnej dobie ugruntowuje się coraz bardziej"*. W związku z tem — pisze „Dziennik Bydgoski" — mówi się tak wiele o wojewodzie Grażyńskim, który *„poprostu stał się modnym w politycznych kołach"*.

*„Warszawski Dziennik Narodowy"* w korespondencji z Poznania zajmuje się — w związku z artykułem A. Staszewskiego w „Narodzie i Państwie" — „naprawiaczami" wielkopolskimi. Pisze on:

*„grupa ta w obozie sanacyjnym w Wielkopolsce stanowi główną podstawę i ona to przeważnie wysłała do W-wy posłów i senatorów".*

Charakterystyka szczegółowa niezbyt jednak „Warszawskiemu Dziennikowi Narodowemu" się udała. Pisze bowiem:

*„Obóz Młoda Polska czyli „naprawiacze" na terenie Wielkopolski stanowią element miejscowy i rekrutujący się głównie ze średniego pokolenia inteligencji (między 45 a 50 rokiem życia). Jest to secesja przedwojenna z Obozu Narodowego, która nie posiada wyraźnej ideologji i nie zdobyła sobie wpływów wśród szerszych warstw społeczeństwa* (przeczą temu chyba mandaty poselskie i senatorskie?). *Wprawdzie grupa ta posiada szereg dzielnych pracowników społecznych (Związek Zachodni, organizacje spółdzielcze), ale brak jej zupełnie temperamentu politycznego... Przytem „naprawiacze" to są, już dzisiaj, starsi panowie, którzy nie posiadają następców z młodszych roczników. Młodzież bowiem nie została ich szeregów".*

Ostatnie zdanie odbiega daleko od rzeczywistości. Zwłaszcza w Poznańskiem!

## Szukamy przodków!

Niema na świecie nic oryginalnego i niema też niczego, co w krótkim czasie nie znalazłoby naśladownictw, odbitek, plagjatów i t. p. Tak samo rzecz się ma z hitlerowskiemi księgami rodowodów.

Księgarnia św. Wojciecha pozazdrościła obrotu hitlerowskim drukarniom ksiąg rodzinnych. Wydała więc arkusze („ozdobnie wydane") dla zapisywania przodków aż do szóstego pokolenia wstecz, nietylko „po mieczu", ale i „po kądzieli". Szukanie babki aryjskiej może więc i u nas stać się aktualne!

Feljetonista *„Kurjera Porannego"* ośmielił się skrytykować ten nowy pomysł księgarni św. Wojciecha. Pisze on:

*„Jaki cel może mieć owo szczepienie rodowego snobizmu wśród najszerszych warstw? Na co komu potrzebne takie naśladowanie bliskiego zachodu, gdzie propaganda ksiąg rodowych ma swoją literaturę propagandową i ma również pewne, ale zupełnie lokalne, uzasadnienie w tchnącej duchem głębokiego średniowiecza mistyce narodu i rasy".*

Dostało się mu za to porządnie od zaprzysiężonego organu antysemickiego, przyczem skończyło się — jak zawsze — na wypomnieniu nieczystości rasowej zespołowi redakcyjnemu „Kurjera Porannego".



ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Widok 3 m. 33, tel. 609-70. CENA PRENUMERATY: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie, 1 zł. miesięcznie. Zagranicą: 21 zł. rocznie, 6 zł. kwartalnie. Prenumeratę wpłacać można w każdym urzędzie pocztowym: 1) pocztowym przekazem rozrachunkowym na rach. 771, lub 2) — blankietem nadawczym P.K.O. na konto 11144. Egzemplarz pojedyńczy 30 groszy.
Redakcja przyjmuje: poniedziałki, wtorki, piątki godz. 10 — 11, środy godz. 17 — 18. Administracja czynna jest w dni powszednie w godz. 10 — 14.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Kuźnia" Sp. z ogr. odp. Sekretarz Redakcji i Redaktor odpowiedzialny: Adam Andrzejewski

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12, w dzierżawie Spółki Wydawniczej Czasopism, Sp. z o. o.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.